Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 34 (1718) 25–31 sierpnia 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

DZIENNIK COTYGODNIOWY

NIE

Święci z czerwonej uprawy

str. 9

Hej, kto kołtun, na gromnice

str. 10

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl d2be744010

SAŁATKA KAMPANIJNA

Jak zwykle garść sondaży od Sasa do Lasa. IBRiS dla Polsatu, United Surveys dla Wirtualnej Polski, Social Changes dla portalu wPolityce.pl. PiS – od 32,4 do 39 proc. Platforma Obywatelska – od 29 do 34,5 proc. Konfederacja – od 7,8 do 13 proc. Trzecia Droga – od 5 do 9 proc. Lewica – od 7 do 7,7 proc. Najbardziej intrygująca rozbieżność: w sondażu dla Wirtualnej Polski różnica między PiS i PO wynosi 1,8 punktu procentowego, a w sondażu dla portalu braci Karnowskich – 10.

Na pisowski piknik w Sarnowej Górze wiceminister spraw wewnętrznych o bardzo męskim nazwisku Wąsik skołował policyjny śmigłowiec Black Hawk. Śmigłowiec śmigał kilkanaście metrów nad ziemią i zerwał drut linii wysokiego napięcia, ale ten jeden jedyny, w którym napięcia nie było, co dowodzi, że Kaczyńskiemu diabeł koty kołysze. Fakt, iż helikopter leciał 140 m za nisko, a jeden z pilotów miał wyrok za katastrofę śmigłowca z 2009 r., w której – nie zgadniecie – leciał za nisko, trzasnął o ziemię i zabił kolegę na pokładzie, to szczegóły wobec faktu, iż tym razem udało się nie zabić nikogo. Naprawa śmigłowca będzie kosztować z bańkę, ale cóż to jest przy życiu ludzkim.

Z kolei wiceminister Wójcik zapowiedział urozmaicenie „festynu z okazji odpustu parafialnego" w parafii św. Bartłomieja w Łanach na Opolszczyźnie. Wśród atrakcji wydarzenia znalazły się orkiestra dęta, mażoretki, Marian Brzoza na fletni Pana, zespół Kasubowici ze Słowacji, zabawa taneczna z zespołem Lala Band oraz „śpiewający minister Michał Wójcik, między innymi w repertuarze Krzysztofa Krawczyka, Elvisa Presleya i nie tylko". Parafia zapewnia „bogato zaopatrzony bufet, darmowe dmuchańce dla dzieci, lot balonem i pokaz wojskowy" (miejmy nadzieję, że naziemny). Sponsorem festynu jest wiceminister sprawiedliwości Michał Woś. Obydwaj wiceministrowie od Ziobry podkreślają, że nie jest to ich okręg wyborczy, robią to tylko „dla radości ludzi". Sprawdziliśmy zatem. Do ludzi, którym koledzy zapewniają radość w Łanach – okręg 21. – zalicza się Janusz Kowalski.

„W trosce o naszych kochanych seniorów" – jak zwykł mawiać premier Morawiecki – i akurat tuż przed wyborami rząd da emerytom po dwa dwieście, ale tylko tym biednym. Tj. takim, którzy mają niej niż 5500 zł emerytury. „Super Express" wykrył, że jedynym posłem, który załapie się na czternastkę, jest Janusz Korwin-Mikke, który wprawdzie polskiej emerytury dostaje półtora tysiąca, ale za to kosi jeszcze po tauzenie euro z PE – co też nie jest mu specjalnie potrzebne, zważywszy że odziedziczył 10 baniek w warszawskich nieruchomościach. Sprawiedliwość społeczna przybiera czasem zaskakujące formy.

Ale skoro już jesteśmy przy Korwinie i jego partii: „Polską rządzą emeryci" – ogłosili Bosak z Mentzenem na knajpianym wiecu w Bielsku-Białej. Ogłosili też, że Adrian Zandberg to „rudy socjalista", który, jak przystało na rudego, jest fałszywy w swoich zamiarach, albowiem w projekcie ustawy o związkach partnerskich nie zawarł zwolnienia z podatku od spadku i darowizn. „Lewica lubi gejów, ale bardziej lubi podatki. Wolę gejów od podatków, dlatego zlikwiduję ten podatek" – obiecuje Sławomir Mentzen. Kamień spadł nam z serca – obawialiśmy się, że będzie raczej optował za likwidacją gejów.

Nowa gwiazda listy Koalicji Obywatelskiej Michał Kołodziejczak nie znika z czołówek. Ostatnio opowiedział, jak na „łożu śmierci" Kornel Morawiecki powiedział mu: „Proszę uważać na mojego syna, ja nie rozumiem jego decyzji". Dopytywany, Kołodziejczak nieco umniejszył gravitas wyznania twórcy Solidarności Walczącej, wyjaśniając, że nie było to literalnie na łożu, ale „to już był ostatni czas jego życia". Przyboczny starego Morawieckiego Andrzej Kołodziej ogłosił, że Kołodziejczak kłamie, bo Kornel „się z nim nie spotykał", na co Kołodziejczak wyciągnął zdjęcie z Kornelem, który jednakże wygląda na całkiem nieumierającego. Cała zadyma wokół Kołodziejczaka – odnotowujemy – nieco odbiera światło reflektorów Donaldowi Tuskowi. Ciekawe, jak długo będzie to znosił.

Partia Razem wkracza do dyskusji na temat obronności. Najbardziej lewicowa polska lewica – podobnie jak patriotyczna prawica wszelkiej maści – słowo „pacyfizm" uważa za nieprzyzwoite i nie ma takiego pomysłu, żeby pomyśleć chociażby o dyskusji o przeorientowaniu priorytetów po zakończeniu wojny, tak aby zamiast na czołgi wydawać na oświatę czy zdrowie. Ale militaryzm Razem ma jednak wyraźny rys lewicowy: „Doświadczenia ukraińskie pokazały, jak istotny wpływ na zdolność bojową jednostek mają tak podstawowe kwestie jak jakość i dostępność obuwia, hełmów, bielizny i mundurów, śpiworów, kamizelek i innych elementów wyposażenia osobistego". Kiedy polski żołnierz będzie zabijał wroga w wygodnych butach i czystych kalesonach, to wszelkie wątpliwości moralne znikną.

Z URNY URBANA

Idą wybory, straszy się więc naród na wyścigi, kim i czym popadnie. O takim straszeniu pisał Urban w swoim felietonie z czerwca 1996 r.

Sranie ochotne

Wszyscy w Polsce grzmocą w cele urojone, fanatycznie walczą ze złem, którego nie ma.

Czerwona Eminencja Glemp wyszedł był na ulice w Boże Ciało przywalić feministkom. Obrończyń kobiet mamy sto razy mniej niż obrońców psów, zresztą po części także obronnych. Łatwo zrozumieć, dlaczego obrońcy psów Eminencji nie irytują, a kobiet tak. Feministki są bardziej radykalne niż miłośnicy zwierząt, gdyż oni nie chcą psów, koni, a nawet kotów zrównywać w prawach z ludźmi.

Innym celem ataków zrodzonych z chorej imaginacji są masoni. Czy ktoś widział żywego masona? U nas, w Warszawie, za Boga nie ma, cóż dopiero w Suwałkach lub Przasnyszu. Tam przez wolnomularza rozumie się leniwego budowlańca, co występuje często, ale Kościołowi nie wadzi. Kiedyś w stołecznej knajpie Bristol Ludwik Stomma jako katolik z dziada pradziada ruszył po sali tropić masona, bo mignął mu biały fartuszek na Francuzie z brodą. Okazało się, że był nie wolnomularski, lecz zakładany do homara, bo on lubi pryskać, kiedy jest jedzony.

Kilkadziesiąt partii wciąż się łączy, żeby odebrać władzę komunie, lecz nie potrafią podzielić się skórą na czerwonym niedźwiedziu. Tymczasem w Polsce o komunistę jeszcze trudniej niż o feministkę albo masona. Wszyscy postkomuniści do partii wstępowali niechcący lub przez przypadek, zajmowali się jej rozkładaniem, a w ogóle już tego nawet nie pamiętają.

Trwa też walka z wrogiem publicznym, jakim jest prasa, która rozkłada nasz wywiad i kontrwywiad, czyniąc Polskę bezbronną. Wedle statystyki jeden złapany szpieg przypada na osiem tysięcy UOP-ków przez pięć lat, co daje jednego szpiega na czterdzieści tysięcy UOP-ków rocznie. W tym połowa była lipnych, bo ukraińskich. Także wywiadowcze prace UOP wydają się zbędne lub iluzoryczne i szkodliwe, jak to wynika ze „sprawy Oleksego".

Prawica oraz PSL z pieśnią na ustach „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród" wojują z wyprzedażą Niemcom świętej ziemi polskiej, na której praojciec żył. W zeszłym roku wszyscy do kupy cudzoziemcy kupili 1952 ha ziemi, co na stosunki przedwojenne dałoby jeden dobry folwark. Dla porównania, w XVIII wieku sam tylko Szczęsny Potocki miał więcej gruntu niż wszyscy Niemcy teraz. 1952 ha jest to jedna dziesięciotysięczna jednego procenta świętej ziemi polskiej. Przy tym samo owo ziemskie kryterium zagrożenia Polski stanowi chory anachronizm, gdyż w sensie ekonomicznym i politycznym ziemia nie jest niczym lepszym niż akcje, konta i inne majątkowe abstrakty. Całe to zagrożenie jest więc fikcyjne. Realny problem stanowi wyłącznie drenaż kurew z Polski, zwany też, nie bez racji, drenażem mózgów, gdyż nasze panienki, te najlepsze córki inteligentnego narodu, więcej kombinują głową niż dupą.

Do straszaków w rodzaju komuchów, Niemców, feministek czy masonów dochodzą jeszcze strachy sezonowe, które pojawiają się i giną bez śladu. W roku 1994 – ruska mafia, w zeszłym roku to były kleszcze, w tym – wściekłe krowy, w następnym mogą być pomidory, Słowacy albo wróble. Naród lubi być straszony, gdyż niestraszony usypia z nudów, przestaje czuć, że żyje. Przez to właśnie kochamy strachmajstrów – biskupów naszych w natchnieniu grożących różnym złem: pedałami, skrobankami, pornografią, piekłem konsumpcji, uświadomieniem seksualnym w szkołach. Dalej idą jako strachy na Lachy kondomy, przemoc celuloidowa i feministki wraże.

Do obowiązków dobrego Polaka i katolika należy zaś zesrywać się ze strachu i w tym obywatel nigdy nie zawiedzie.

URBAN

Jak obniżyć poparcie Konfederacji?

Facebook

Bartek Orzeł: Podrzucić im na listę Giertycha.

Sylwia Dominczyk: Podnieść wiek minimalny dla wyborców.

Filip Putowski: Jak najszybciej.

Marcin Grochala: Wincyj Brauna i Korwina.

Barbara Zet: Do zera absolutnego.

Marcin Pawłowski: Dać szlaban i obciąć kieszonkowe elektoratowi.

Bartosz Wadzyński: Pozwolić politykom Konfederacji wypowiadać się swobodnie.

Marcin Wałęcki: Trzeba wypuścić z piwnicy Korwina i dać mu mówić!

Maciej Dadej: Black hawkiem.

Tomek Grzybowski: Najlepiej w Excelu.

Dariusz Szabłowski: Głosować na Konfederację to jak zaprosić Trynkiewicza na kinder party, bo dobry tort obiecał.

Ilona Be: Odłączyć ich od TikToka.

Roman Malowański: Podnieść poziom wody w spłuczce.

Marcin Szymkowiak: Wypuścić na nich Petru.

Forum

BOG: Podwyższyć IQ wyborców.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE" i Facebooka.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

PRASA ŚNIADANIOWA

Kardynał Dziwisz zaapelował, aby nie dać się zwodzić propagandowym hasłom. Kardynał ma na myśli wyłącznie cudze propagandowe hasła.

Marszałek sejmu Elżbieta Witek powiedziała, że nigdzie na świecie nie ma takich dożynek jak w Polsce. Oczywiście, bo tylko w Polsce w dożynki obowiązuje zasada: wódka, wódka i jeszcze raz wódka.

Jak informuje **Radio Maryja,** opaski sportowe mogą być siedliskiem szkodliwych bakterii. Jak często prać sutannę, pozostaje tajemnicą.

Tygodnik „Niedziela" poinformował, że w pożarze na Hawajach cudownie ocalał kościół Matki Boskiej Zwycięskiej. Świetnie, będzie gdzie wyprawić pogrzeby setkom ofiar.

Papież Franciszek powiedział, że wiara to gotowość na zmiany. Jest jakieś nowe stanowisko Watykanu w sprawie wojny w Ukrainie?

Biskup Wiesław Lechowicz zachęcił kobiety i dziewczęta do wykorzystywania geniuszu kobiecego. Geniusz kobiecy najlepiej wykorzystuje Kościół katolicki.

MARTA M.

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Byle nie w szambie

Piłsudski powiedział: „Kto za młodu nie był lewicowcem, na starość zostanie szubrawcem".

Tu jawi się Konfederacja, na którą chętnie głosują młodzi ludzie. W rodzinie też mam gówniarza, który chce głosować na Bosackiego i spółkę. Trudno do niego trafić z lewicowymi poglądami. Turbokapitalizm już go kupił.

Co dalej, Panie Marszałku?

„Religia jest dla ludzi bez rozumu".

Czy dzisiaj za takie słowa też by go pochowano w katedrze wawelskiej?

Proszę dalej.

„Jeszcze Polska nie zginęła i dotąd nie zginie, aż ją sami utopicie w zatrutej plwocinie!"

Tu Marszałek przewidział trafnie dzisiejsze czasy.

Trzeba słuchać Marszałka, który był jednym z największych Polaków w historii. W pisowskiej Polsce musi jednak ustąpić miejsca Kaczyńskiemu i Wojtyle.

Teraz moje: „Ja polityką się nie zajmuję – bo nie chcę zejść na szamba dno".

Tadeusz, Bydgoszcz

eprasa.pl d2be744010

Zamiast opowiadać, że ZUS kiedyś splajtuje, zlikwidujmy go od razu. Wraz z emerytami.

Ostateczne rozwiązanie kwestii staruchów

Starsze osoby, mające 60 i więcej lat, stanowią obecnie 28 proc. społeczeństwa. Jest ich niespełna 10 mln. Jeszcze dwa lata temu było ich 25 proc. W 2050 r. osoby 60+ będą stanowić 40 proc. nadwiślańskiej populacji i będzie ich prawie 14 mln. Na ich utrzymanie będzie się musiało zrzucać o wiele mniej osób niż dziś. Bo rozmnażanie się w porąbanym kraju nikomu nie pasuje.

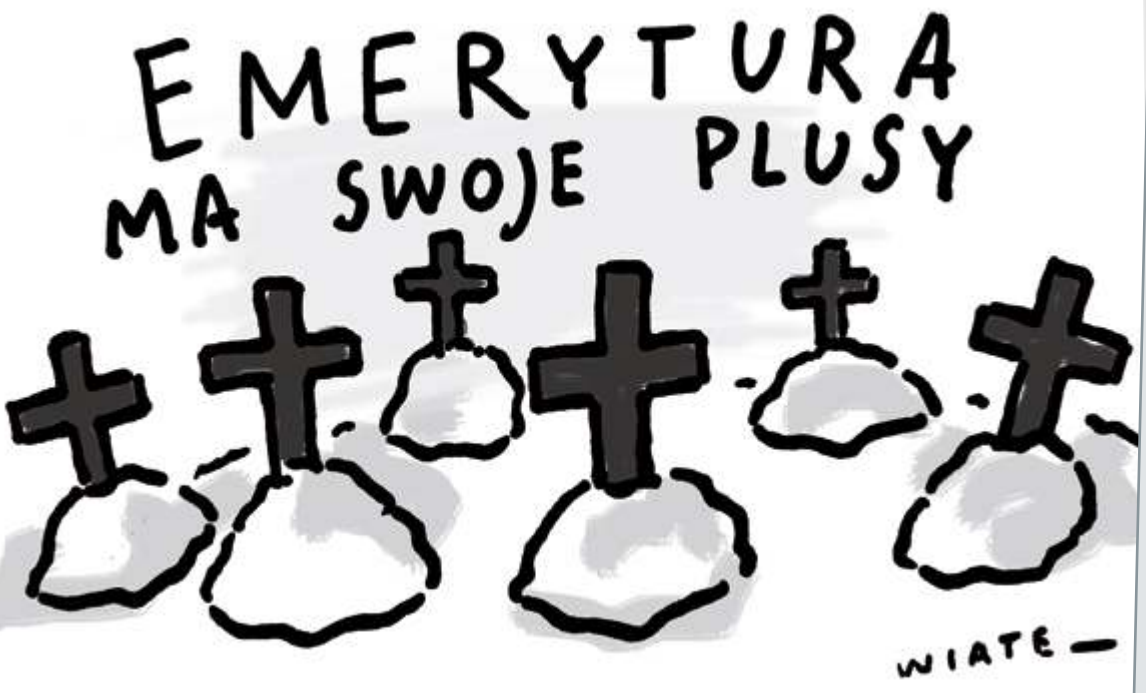

Biedne jest życie staruszka

Żeby staruchom było jako tako, młodsi pracujący musieliby odprowadzać o wiele wyższe składki emerytalne niż teraz. I oczywiście tego nie zrobią, bo w wyborach zagłosują na te ugrupowania, które składek nie podniosą.

Emeryci będą więc głodować i chorować. To zaś dzięki tzw. stopie zastąpienia, która oznacza, jaki procent naszej ostatniej pensji będzie stanowiła nasza emerytura. Dziś jest to około 54 proc. Statystycznie całkiem nieźle. Jeszcze…

Bo już w 2030 r. wskaźnik ten skurczy się do 47,1 proc. W 2040 r. stopa zastąpienia wyniesie 37,6 proc., a w 2050 r. – 28,7 proc. Według prognoz Komisji Europejskiej w 2060 r. polska emerytura będzie stanowić zaledwie 25 proc. ostatniej pensji. OECD przewiduje nawet, że będzie to 24,6 proc.

To zaś oznacza, że wartość nabywcza takiej emerytury będzie ponad dwukrotnie mniejsza niż emerytur dzisiejszych. Jeśli więc już dziś emeryt ledwo wiąże koniec z końcem, to już wkrótce przestanie. Jak wynika z raportu „Poverty Watch 2022", sytuacja staruchów pogarsza się z roku na rok. Od roku 2019 wzrosła liczba starszych osób żyjących w relatywnym ubóstwie – skoczyła z 1,2 mln do 1,3 mln. Stale rośnie też udział dziadyg wśród osób korzystających z pomocy żywnościowej. Prognozy wskazują, że trend ten będzie postępował.

Po cholerę toto żyje

Staruchy to same problemy. Z tego, jak oni to widzą, wynika, że największym jest samotność, potem dostęp do służby zdrowia, a dopiero na trzecim miejscu niewystarczające do życia środki. Bierze się to stąd, że Polacy przedwcześnie wycofują się z życia, z aktywności, przedwcześnie stają się samotni, niesamodzielni i niepełnosprawni. Z tego też powodu tuż po przejściu na emeryturę dopadają ich nadciśnienie tętnicze, cukrzyca i przewlekła niewydolność serca. Okupują więc przychodnie, łażąc z tymi dolegliwościami, co jakiś czas przeplatanymi nietrzymaniem moczu, osłabieniem oraz urazami wynikającymi z upadków. Dla służby zdrowia staruchy są gorsze niż jakakolwiek zaraza.

Dziadygi przysparzają roboty i policji. Bo to oni generują co najmniej 30 proc. przestępstw. Są bowiem idealnymi ofiarami wszystkich rodzajów skoków. I mimo ciągłego trucia o metodach „na wnuczka", „na policjanta" czy „na prokuratora" co roku przestępcy wyciągają podstępem z kont i kieszeni staruchów ponad 100 mln zł. A potem gliniarze muszą za takimi złodziejami ganiać.

Największym problemem dziadyga jest dla rodziny. Koszt umieszczenia starucha w domu starców to 4–7 tys. zł miesięcznie. Przy dzisiejszych emeryturach oznacza to, że familia musi do dziadygi dopłacać więcej niż połowę tej kwoty. Dlatego Polacy rzadko kiedy mogą sobie pozwolić na taki komfort.

Szacuje się więc, że ok. 80 proc. opiekunów osób starszych to członkowie ich rodziny. Bo oczywiście, nawet jak starucha czy staruszkę byłoby stać na dom pomocy społecznej, to przecież woli jeden z drugą zostać w domu, gdzie czuje się najlepiej, wkurzając dzieci i wnuki.

Państwo też ma ze staruchami przewalone. Zamiast budować autostrady, koleje świetlnej prędkości albo żłobki czy przedszkola, musi wypłacać im emerytury, zasiłki i nawet leczyć.

Na same tegoroczne emerytury pójdzie jakieś 360 mld zł. To prawie 9 proc. polskiego PKB. Czterokrotnie więcej niż na wojsko.

Tegoroczna trzynastka i czternastka to łącznie ok. 20 mld zł z budżetu państwa – na podstawową opiekę zdrowotną NFZ przeznacza w tym roku lekko powyżej 16 mld zł.

Kto się starzeje, ten nie je

Państwo od lat stara się rozwiązywać problem staruchów. Półśrodkami. To dlatego wysokość minimalnej emerytury brutto w 2023 r. wynosi 1588,44 zł, co daje kwotę na rękę 1445,48 zł. Aktualne minimum socjalne w Polsce obliczono na 1650,22 zł. Tzw. najmniejsza emerytura jest więc od niego niższa. Ale wciąż wyższa od minimum egzystencji, które rządowi fachowcy wyliczyli dla jednoosobowego gospodarstwa emeryckiego na 732,42 zł. Według tej kalkulacji na mieszkanie, ogrzanie się i jedzenie staruchowi powinny wystarczyć 24 zł dziennie!

Nic więc dziwnego, że

odsetek osób żyjących poniżej granicy skrajnego ubóstwa, który w ostatnich latach oscylował między 4 a 5 proc., w ubiegłym roku skoczył do 6,5 proc.

Trzeba jednak pamiętać, że tzw. najmniejszą emeryturę dostaje ok. 1 mln 250 tys. osób. A prawie 400 tys. emerytów nie dostaje nawet tyle. To ci, którzy pracowali u biznesmenów płacących pod stołem lub zatrudniających na śmieciówkach. Dzięki czemu, pracując całe życie, nie wyrobili „lat składkowych" w ZUS. Ich liczba rośnie z roku na rok i szacuje się, że wkrótce będzie ich prawie milion.

Niestety – dla państwa – staruchy dostające kasę niewystarczającą na przeżycie jakoś masowo nie wymierają. Od czego jest jednak państwowy system opieki medycznej?

W naszym kraju na 9,8 mln starych ludzi jest 560 geriatrów. Najlepszą sytuację mają dziadygi w woj. łódzkim i śląskim, gdzie na jedną poradnię geriatryczną przypada ok. 42 tys. pacjentów. Najgorzej jest w woj. warmińsko-mazurskim. Jeden geriatra ma pod opieką 174,6 tys. staruchów. W regionie tym nie ma też ani jednego oddziału geriatrycznego.

Widać więc, że państwo polskie realizuje zdrowotną politykę utylizacji staruchów.

Liczba lekarzy geriatrów na 1 mln mieszkańców wynosi w krajach UE od 16 do 50. Średnia wartość tego wskaźnika w przypadku Belgii, Danii, Francji Włoch i Hiszpanii wynosi 31. W państwie polskim jest to 14,1 lekarza.

Żyj szybko, umieraj młodo

Wszystkie dotychczasowe polityki senioralne w Polsce dążyły zatem do jednego: spowodowania, by na emeryturze żyło się jak najkrócej.

Drugą stroną tego medalu była chęć zmuszenia staruchów do roboty. I to się udawało. Według światowych analiz wśród 45 społeczeństw krajów rozwiniętych to polscy emeryci najczęściej wracają do pracy, by móc godnie żyć.

W 2017 r. 83 proc. osób po osiągnięciu wieku emerytalnego natychmiast przechodziło na emeryturę. Dzięki skutecznemu braniu staruchów głodem w tej chwili to jest ok. 61–62 proc. A będzie jeszcze ciekawiej, bo w latach 2023–2027 uprawnienia emerytalne uzyskają roczniki wyżu demograficznego – rocznie ok. 300 tys. osób. Badania przeprowadzone wśród nich pokazują, że zostać emerytami nie zamierza ponad 60 proc. z nich.

Polityka społeczna polegająca na głodzeniu nie dotyczy jednak tylko dziadyg. Niczym w starożytnej Sparcie państwo nasze stara się wyeliminować każdego, kto z tego czy innego powodu jest nierobem. W czasie kilku ostatnich lat co roku zmniejsza się o 5 proc. liczba osób, które dostają renty z powodu niezdolności do pracy. Oczywiście nie dlatego, że Polacy są coraz zdrowsi i sprawniejsi, ale dlatego, że renta oznacza nędzę. Więc każdy, kto jest chory, ale może robić cokolwiek, szuka roboty.

Od takiej polityki społecznej już tylko krok do tego, by Polska stała się krajem ludzi młodych i bogatych. Wystarczy przecież zlikwidować składkę emerytalną, czyli emerytury. Młodzi, sprawni ludzie będą szczęśliwi, bo dostaną wyższe uposażenia. A jeśli jakiś staruch nie odłoży hajsu i ma głupią rodzinę, to będzie na jej garnuszku. Pod warunkiem wszakże, że gdy zachoruje (będąc osobą niepracującą), to leczony ma być za pieniądze.

Żeby te regulacje nie wydawały się bardzo niehumanitarne, muszą zawierać jeszcze jeden element. Nader godnościowy. Trzeba będzie dać ludziom wybór. Nie każdy przecież chce być przymierającym głodem staruchem na łasce dzieci. Dlatego konieczne byłoby wprowadzenie eutanazji co najmniej na życzenie.

Jak nie możesz pracować i nie chcesz być ciężarem, idziesz do przychodni i prosisz o zastrzyk. Jeśli się boisz lub masz demencję, prawo winno dopuścić eutanazję na życzenie rodziny.

Jeśli zaś ktoś jest samotny, to przecież z powodu, że „wszyscy Polacy, to jedna rodzina", o przymusowej eutanazji dziadygi będzie mogło zdecydować państwo.

Eutanazja dla każdego byłaby bardziej humanitarna od hipokryzji władzy i morzenia staruchów głodem i skazywania na zaleganie w szpitalu w wieloletniej agonii.

Nie wspominając o tym, że niemal z dnia na dzień mediana wieku Polaków, która dziś wynosi 42 lata, nie tylko nie wzrosłaby w 2100 r. do prognozowanych 50,4 lat, tylko znacznie by spadła, nawet mimo małego przyrostu. A zaoszczędzone na opiece nad staruchami pieniądze zmniejszyłyby składki i podatki i pozwoliły młodym żyć tak, jak młodzi żyć powinni.

TADEUSZ JASIŃSKI

Rysunki TOMASZ WIATER

MÓŻDŻEK TYGODNIA

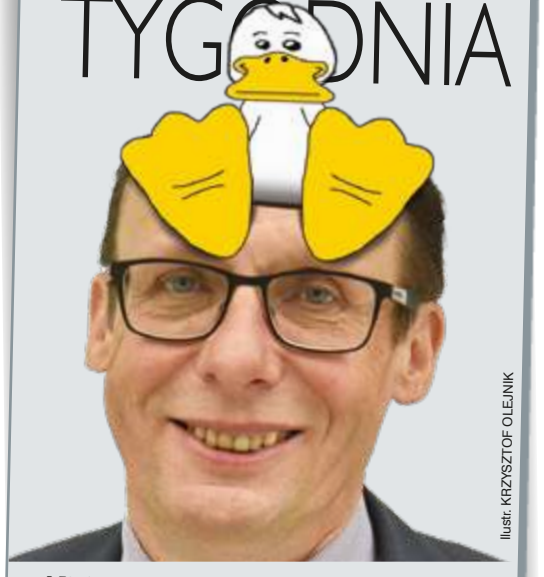

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niełatwo jest być posłem Prawa i Sprawiedliwości.

Weźmy Marka Asta, który w polskim życiu politycznym odgrywa następujące role: przewodniczącego sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka, wiceprzewodniczącego sejmowej komisji ustawodawczej, członka Rady Doradców Politycznych premiera Mateusza Morawieckiego. Ast grochu ani prochu nie wymyśli, bzdury plecie jak warkocze, a robienie z siebie durnia weszło mu w krew, chociaż w telewizorze stara się sprawiać wrażenie dobrze poinformowanego funkcjonariusza pisowskiego reżimu. Ale jak można być dobrze poinformowanym, jeśli decyzje prezesa Jarosława Kaczyńskiego zależą od tego, którą nogą wstanie z łóżka?

15 sierpnia 2023 r. Kaczyński wstał prawą nogą. O powołaniu komisji ds. wpływów rosyjskich (lex Tusk!) w rozmowie z „Faktem" Ast powiedział zatem: „Jest realne, żeby skład osobowy był powołany jeszcze na kolejnym posiedzeniu [sejmu], jeżeli takie będzie pod koniec sierpnia. Gdzieś na przestrzeni września komisja mogłaby rozpocząć pracę".

18 sierpnia prezes wstał lewą nogą. W rozmowie z Polską Agencją Prasową Ast musiał więc powiedzieć: „Czas na powołanie komisji bardzo nam się skrócił. Pani marszałek [Witek] nie zdecydowała się na wyznaczenie terminu zgłoszenia kandydatów. Komisja i tak miała rozpocząć działalność w obecnej kadencji, a kontynuować w kolejnej, więc pozostanie to pewnie zadaniem dla sejmu kolejnej kadencji, aby wykonać tę ustawę i powołać komisję".

A teraz eksperyment umysłowy. Co o ruskiej komisji powiedziałby Ast, gdyby pewnego poranka Kaczyński nie mógł zwlec się z wyra?

eprasa.pl d2be744010

Cyganie

Ci, co wyżywią się sami.

Wyborcy w Polsce ciągle narzekają, że politycy kłamią. Uważają nawet, że poseł i kłamca to synonimy. Ale kiedy polski polityk publicznie powie im prawdę, zwłaszcza o Polsce i Polakach, to wtedy pieją z oburzenia i publicznie obrażają się na polityka. I na całą klasę polityczną też.

Klasykiem takiej niechcianej prawdy został Jerzy Urban. Jako rzecznik rządu generała Jaruzelskiego, komentując sankcje USA nałożone na Polskę za wprowadzenie stanu wojennego, zauważył, że będą one najmniej dotkliwe dla rządzących. „Rząd się sam wyżywi" – skonstatował. Bo przecież nie zdarzyło się w historii świata, żeby jakiś rząd z głodu umarł. Nawet wyjątkowo nieudolny.

Ale ta banalna prawda strasznie rozwścieczyła ówczesną „demokratyczną opozycję". Ludzi formalnie wykształconych, mieniących się inteligencją polską, elitami ówczesnego narodu. Oszukujących siebie i innych, że amerykańskie sankcje będą dotkliwe jedynie dla wrażej im junty generalskiej, a nie dla polskiej gospodarki. Dla gospodarstw domowych, a nawet dla opozycyjnych elit.

Za przypomnienie tej prawdy Urban został okrzyknięty ohydnym cynikiem i człowiekiem totalnie zdemoralizowanym. Tylko dlatego, że ówczesna opozycja pragnęła żyć w pokrzepiających ją kłamstwach.

Niesiołowski na szczaw!

Podobny los spotkał już w III RP posła Stefana Niesiołowskiego. Antykomucha znanego z niewyparzonej gęby i emocjonalnych reakcji na krytykę. W 2013 r. polskie media kazały skomentować mu informację Fundacji Maciuś, że w Polsce stale głoduje 800 tys. dzieci, czemu winna miała być rządząca Platforma Obywatelska, do której wtedy on też należał.

Niesioł utracił wtedy poselski instynkt samozachowawczy. Zamiast obiecać fundacji kasę, zrobić z siebie posła dobrodzieja, zapragnął powiedzieć prawdę. Przypomniał, że ostatni prawdziwy głód był w Polsce zaraz po II wojnie światowej. Wtedy częstym zajęciem naprawdę głodnych dzieci było dojadanie dziko rosnącego szczawiu i zdziczałych mirabelek.

Niesiołowski miał rację, bo w celu osiągnięcia lepszego efektu medialnego, czyli wzbudzenia litości u potencjalnych darczyńców, szlachetna w intencjach fundacja zawyżyła dane, znacznie rozszerzając pojęcie głodu i tym samym populację głodnych. Czyli kłamała. Niesiołowski mógł wtedy obiecać jej wsparcie, a potem obietnicy nie dotrzymać, jak to politycy w Polsce robią. Po tygodniu media i wyborcy zapomnieliby o jego obietnicy. Zajęci inną medialną sensacją. Ale on się uparł i za głoszenie prawdy został obsobaczony przez media. Znienawidzony przez zawodowych hejterów.

Bo w naszym kraju polityk na wieść o głodzie dzieci musi koniecznie najpierw gromko medialnie zapłakać i teatralnie im współczuć.

Nie musi myśleć racjonalnie, analizować danych, a nawet zaproponować sposobów rozwiązania tego problemu. Bo wtedy otworzy jedynie pole do kolejnych narodowych kłótni.

Trafiony, zatopiony

Podobne racjonalne myślenie utopiło medialnie premiera Włodzimierza Cimoszewicza. Był początek lipca 1997 r. Na Dolnym Śląsku zaczynała się powódź. Nie pierwsza tam i pewnie nie ostatnia. Premier pojechał. Ujrzał zalane wsie, zagrożone miasta. W Warszawie rząd zaczął już dyskutować, jak pomóc powodzianom, a dziennikarze – pytać premiera o reakcję rządu. Wstrząśnięty lokalną klęską pozwolił sobie na trzeźwą refleksję: „To jest kolejny przypadek, kiedy potwierdza się, że trzeba być przezornym i trzeba się ubezpieczać, ale ta prawda jest ciągle mało powszechna". I zadeklarował, że rząd zorganizuje pomoc powodzianom.

Rys. WIDGET

Ale w mediach powtarzano tylko ten fragment, że trzeba było się ubezpieczyć. Minęło kilka dni. Pogoda niespodziewanie się pogorszyła. Lokalna powódź zamieniła się w kataklizm. W powódź stulecia. Stała się najważniejszym wydarzeniem dzienników telewizyjnych. Codziennie oglądaliśmy dramatyczne relacje z zalewanych miast, tysiące ludzi walczących z żywiołem, okraszane ciągle przypominaną radą premiera, że „trzeba się było ubezpieczyć". Na próżno 21 lipca 1997 r. premier przeprosił publicznie za słowa, które wywołały takie rozgoryczenie. Rozlały się po kraju jak woda we Wrocławiu. Potem woda opadła, ale gęba polityka aroganta pozostała Cimoszewiczowi na zawsze. Choć tłumaczył wielokrotnie, że wtedy odpowiedział jak prawnik, którym jest z wykształcenia, a nie skłamał, jak powinien, jak typowy polski polityk. Tak to media utopiły premiera w jego słowach.

Polscy wyborcy lubią za całe zło obwiniać władze. Nawet za powódź stulecia. Nienawidzą werbalnie socjalizmu i instytucji państwowych, ale jednocześnie mają wielkie roszczenia socjalne i oczekują, że państwo uchroni ich nawet od klęsk żywiołowych. Oczekują, że to premier da im krótką odpowiedź na fundamentalne pytanie „jak żyć?" i przy okazji pomoże prowadzić hodowlę papryki. Niestety, poszczuci przez media, zmanipulowani przez cwanych lobbystów, potrafią zablokować niejedno nowatorskie rozwiązanie proponowane przez polityków.

Tuskowi przykro

Tak było z płatnymi winietami przyklejanymi na samochody, proponowanymi przez wicepremiera Marka Pola z Unii Pracy jeszcze w 2002 r. Eliminującymi bramki na autostradach, czyli niepotrzebne tam korki. Ale lobbyści firm transportowych zapragnęli opóźnić wprowadzenie systemu pobierania opłat. Przekupili i nakręcili media. A potem opinię publiczną. I przekupili pewnie wielu ówczesnych parlamentarzystów. Premier Marek Pol został okrzyknięty wtedy „Winietou", a jego słuszna propozycja ośmieszona i przez sejm odrzucona.

I chociaż wtedy poseł Donald Tusk tak przemawiał w trakcie debaty: „Osobiście jest mi przykro, panie premierze – zwracam się tutaj do pana premiera Pola – że właśnie pan stał się symbolem tej fatalnej tendencji. Wcale nie miałem też satysfakcji, kiedy przeczytałem w polskich gazetach, że doczekał się pan osobliwego pseudonimu Winietou. Uważam, że jest pan człowiekiem przyzwoitym i obdarzonym naprawdę dobrymi kwalifikacjami. Zresztą i pseudonim jest nieprzypadkowy, bo Winnetou przynajmniej wśród czerwonoskórych uchodził za najprzyzwoitszego", to ówczesna Platforma Obywatelska projektu winiet podczas końcowych głosowań nie poparła. 10 lat później, kiedy premier Tusk był krytykowany przez media za nieefektywne bramki zainstalowane na autostradach, zaproponował wprowadzenie systemu winiet.

Wyborcy w Polsce ciągle narzekali i nadal narzekają, że politycy kłamią. Ale kiedy nawet kandydat na parlamentarzystę prawdę im powie, to od razu pieją w mediach z oburzenia.

Przydarzyło się to niedawno profesorowi Janowi Hartmanowi. Zaproponowano mu kandydowanie do sejmu. Ale kiedy odezwał się jako etyk, kiedy powiedział publicznie niepopularną prawdę, to został zgodnie wykluczony przez polskie media, polskich wyborców i wystraszonych polskich polityków z życia politycznego.

W Polsce etyka nie pasuje do modelowego wzorca polityki.

„Pan kłamie, mówiąc, że ja kłamię" – strofował Jan Maria Rokita, kiedy był jeszcze liderem Unii Wolności, posła Wojciecha Włodarczyka z ówczesnego ROP. A Andrzej Celiński, wtedy w SLD, zauważał: „Poziom nasycenia sali sejmowej fałszem jest przerażający".

„Jak ja tych kurwów nienawidzę", powtarzał mi wielokrotnie znajomy poseł z PiS. „Tych kurwów", czyli swoich wyborców i popierających go mediów. Bo w kontaktach z nimi musiał mówić jedynie to, co oni chcą od niego usłyszeć. Zwykle najgłupsze głupoty. A w czasie kampanii wyborczej musiał jeszcze robić z siebie totalnego pajaca. Na piknikach obtańcowywać aktywistki kół gospodyń wiejskich, którymi się organicznie brzydził.

Wtedy inny znajomy poseł, ten był z PO, ciągle wzdychał: „Życie nabrało takiego tempa, że człowiek nie nadąża zmieniać poglądów".

Kandyduję w październikowych wyborach do Sejmu RP z warszawskiej listy Lewicy.

Czy Wy oczekujecie teraz ode mnie głoszenia prawdy?

PIOTR GADZINOWSKI

Zapora na granicy z Białorusią za 1,6 mld zł stoi po to, żeby kilkadziesiąt osób mogło zarabiać krocie.

„Polska skończyła budowę bariery ochronnej na granicy z Białorusią. Nielegalne przedostanie się do Polski jest obecnie niemożliwe. Polska granica jest dziś najlepiej chroniona w Europie" – napisał 1 października zeszłego roku na Twitterze rzecznik koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn. Ten niebywały sukces rząd i media pisowskie ogrywali dobrych kilka tygodni. Za krótko widać, bo…

Zapora bzdur

…27 marca Żaryn dokonał na Twitterze następującego wpisu: „Polska zakończyła budowę fizycznej bariery ochronnej na granicy z Białorusią. Obecnie nielegalne przedostanie się do Polski jest niemal niemożliwe. Polska granica jest dziś najlepiej chroniona w Europie". I znowu radości nie było końca.

Minął ponad miesiąc, a tu o zakończonej dwakroć inwestycji rzeczniczka Straży Granicznej powiedziała 1 maja, że „na granicy z Białorusią działa już 206 km bariery elektronicznej, czyli systemu kamer i czujników ruchu. Brakuje jedynie 150 metrów na ostatnim odcinku, gdzie instalacje urządzeń uniemożliwiają warunki w terenie". Informacja ta w mediach państwowych jednak nie wybrzmiała.

Tak samo jak ta z 15 czerwca. Wtedy dopiero zakończył się formalny odbiór prac budowlanych przy instalacji bariery elektronicznej na granicy polsko-białoruskiej. Na drodze hybrydowych migrantów Łukaszenki stanął więc 5,5-metrowy płot ze stalowych przęseł zwieńczony drutem żyletkowym o długości 186 kilometrów. Nie stoi tam, gdzie od Białorusi odgradzają nas wody. Ale 206-kilometrowa zapora, wyposażona w 3 tys. kamer dzienno-nocnych i termowizyjnych, 400 km kabli detekcyjnych oraz 11 kontenerów teletechnicznych obejmuje i ten odcinek.

To jednak nie wszystko. W graniczących z Białorusią województwach lubelskim i podlaskim rozlokowano łącznie ok. 15 tys. strażników granicznych i żołnierzy. Gdyby ich wszystkich rozstawić w tyralierę, to jeden od drugiego staliby w odległości 13,5 m. W lipcu władza przestała mówić o 15 tys. obrońców ojczyzny. Po podesłaniu tam 500 antyterrorystów zrobiło się tego towarzystwa o połowę mniej. Tak czy inaczej granica naszpikowana złomem, elektroniką, żyletkami i ludźmi była teoretycznie i w praktyce nie do przejścia.

AgroFuck

Kołodziejczak i mądrość etapu.

Jeśli chodzi o mnie, to wybieram Polskę, która pokazuje fucka Amerykanom. I nie, nie wpłynie to na nasze bezpieczeństwo. Ameryka wspiera Ukrainę, bo uważa, że leży to w jej interesie, i przestanie wspierać, kiedy przestanie leżeć, a nie dlatego, że się obrazi na Polskę. Naprawdę nie jesteśmy tacy ważni.

Pokaż fucka Ameryce

Akces Agrounii do Koalicji Obywatelskiej zaniepokoił Mateusza Morawieckiego do tego stopnia, że nieco nawet zaniedbał jebanie Tuska – aż tak skupił się na walce z Michałem Kołodziejczakiem. Czołowym orężem w rękach premiera jest wystąpienie Kołodziejczaka pod amerykańską ambasadą sprzed pięciu lat. Lider – wtedy jeszcze Unii Warzywno-Ziemniaczanej – protestował przeciwko amerykańskiemu i unijnemu embargu wymierzonemu w Rosję po aneksji Krymu. Embargo, na które Rosja odpowiedziała swoim, uderzyło szczególnie boleśnie polskich eksporterów żywności. Czemu Kołodziejczak dał wyraz w demonstracji pod ambasadą USA w Warszawie, gdzie wygłosił słynny monolog: „Co robi ambasada amerykańska? Kłóci nas z Rosją! Pcha nas na Ukrainę! Dzisiaj każdy z nas powinien odważyć się na ten gest i pokazać fucka Amerykanom!", który następnie okrasił zamaszystym fuckiem.

Dziś Morawiecki tym właśnie wystąpieniem usiłuje skompromitować Kołodziejczaka w oczach wyborców wszelkiej maści. „Sojusz ze Stanami Zjednoczonymi jest absolutnym funda-

Rys. WIDGET

eprasa.pl d2be744010

Jeszcze jedna dziura w murze

Miękkie podbrzusze

Dlaczego zatem Niemcy zaczęli się burzyć już kilka tygodni po pierwszej enuncjacji Żaryna? Bo w październiku ubiegłego roku w saksońskim parlamencie krajowym pojawiły się pierwsze głosy domagające się od władz wprowadzenia kontroli granicznych. Okazało się, że z Polski, która właśnie skończyła budowę muru, dociera nienotowana od dawna liczba migrantów. Ich paszporty pokazywały, że wzięli się w Niemczech z Białorusi i Rosji.

Zima przyhamowała uchodźców na tyle, że ich liczba przestała kłuć Niemców w oczy. Ale wraz z wiosną fala wezbrała. W lutym migrantów było 1040, a w kwietniu – 2551.

Brandenburgia i Saksonia zażądały od rządu federalnego stacjonarnych kontroli granicznych. W maju zrobiło się na tyle gorąco, że grupa parlamentarna CDU/CSU wezwała rząd Niemiec do wprowadzenia szlabanów na granicy z Polską. Parlamentarzystów po raz kolejny wsparli ministrowie spraw wewnętrznych Brandenburgii i Saksonii, domagając się wprowadzenia stacjonarnych kontroli na granicy z Polską. Wprowadzenie granicy polsko-niemieckiej stało się na tyle realne, że Michael Stübgen, minister spraw wewnętrznych Brandenburgii, opowiadał mediom, że kontrole na granicy z Polską ruszą już w czerwcu.

Rząd federalny się nie zgodził, bo Polacy zapowiedzieli, że problem migrantów mają opanowany. Tymczasem w czerwcu w Niemczech odnotowano skok migrantów z Polski. Zarejestrowało się ich w Niemczech 2909.

Do lipca aż 14 303 osoby wjechały nielegalnie do Niemiec przez granicę polsko-niemiecką. To wzrost o 144 proc. w porównaniu z tymi samymi miesiącami ubiegłego roku. W samym lipcu do Niemiec nielegalnie wjechało z Polski 2335 osób. Fala migrantów nie opadała.

Niemcy się wściekli. „Nielegalna migracja grozi wymknięciem się spod kontroli” – mówiła wiceprzewodnicząca frakcji Unii CDU/CSU Andrea Lindholz. Szef związku zawodowego policjantów zaproponował, aby na całej wschodniej niemieckiej granicy co najmniej „umożliwić system elastycznych kontroli”. Ministrowie spraw wewnętrznych Saksonii oraz Brandenburgii również potwierdzili żądania dotyczące kontroli na granicach z Polską. Ministrowie zaapelowali do minister spraw wewnętrznych Niemiec o rozpoczęcie wymaganego procederu notyfikacyjnego na szczeblu UE w Brukseli.

Ponad 16,5 tys. migrantów, którzy przeszli przez Polskę i zarejestrowali się w Niemczech do sierpnia, to nie wszystko. Nie wiadomo, ile osób tylko przejechało przez Niemcy i zostało zarejestrowanych we Francji, Wielkiej Brytanii, w Skandynawii czy Beneluksie. Eksperci szacują więc, że od początku roku szlakiem białoruskim przez Polskę wpłynęło na Zachód ok. 24 tys. osób. Migrantów, których nie powstrzymała polska nieprzepuszczalna zapora.

Pogranicznicy wszystkich krajów

No i straż graniczna. Ta sama, która podaje, że w całym zeszłym roku mieliśmy 15,7 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy przez migrantów, a przez połowę 2023 r. niemal 14 tys. Te dane potwierdza premier Morawiecki: „Straż graniczna od początku roku odnotowała ponad 16 tys. prób nielegalnego przejścia przez tę granicę” – mówił na początku sierpnia. Nie był świadomy, że ta informacja pokazuje, że miliardowa inwestycja w mur i ściągnięcie tysięcy mundurowych na granicę niewiele dały.

Z danych niemieckich – powiększonych o symulację z innych krajów – wychodzi, że Polacy zupełnie sobie nie radzą. Polskie odnotowania „prób nielegalnego przekroczenia” odnoszą się wszak nie do osób, ale prób. Jeśli zatem 4 tys. migrantów dało się strażnikom złapać i przepchnąć na stronę białoruską po czterykroć, to wyrobili tym te „nielegalne próby”. Oczywiście straż nie łapie wciąż tych samych osób. Ponoć najwięksi pechowcy wpakowali się na polskich pograniczników najwyżej dwa razy. Większość wchodzi na teren Rzeczpospolitej bez żadnego problemu i jedzie stąd dalej.

Dzięki temu w łeb brałyby nawet wyliczenia organizacji monitorujących migrację z Białorusi, którym wyszło, że przez dwa lata na każde 100 prób przekroczenia granicy zauważonych przez służby przypadło 44 osoby, które niezauważone dotarły do Niemiec. W 2021 r. proporcja ta wyniosła 28, rok później – 53, a od początku tego roku – 75.

Prawdziwe wyniki są dla polskiej straży granicznej bardziej bezlitosne. Przez mur i Polskę przechodzi co najmniej dwa razy tyle osób, ile wyłapuje i cofa SG.

Międzynarodowy zespół dziennikarzy BIRN opisał trasę, jaką pokonują migranci, którzy zmierzają do Niemiec.

W cenie 5 tys. dolarów wliczone jest przejście przez płot stojący na polskiej granicy. Jak twierdzą dobrze poinformowani, jedna piąta tej kwoty to opłata dla polskiego strażnika za to, żeby wtedy i wtedy nie było jego ani kolegów tu i tu.

Tysiąc baksów za jednego migranta to miła wziątka. Ponad 20 tys. takich wziątek powoduje, że na granicy chłopaki mogły obłowić się tylko w tym roku na ponad 20 mln dolarów.

Zupełnie niechcący tezę tę potwierdza rzeczniczka SG. Jej zdaniem „migranci nie są w stanie samodzielnie pokonać fizycznych barier, które są w tej chwili na granicy, ale ze wsparciem może im się udać. Od początku to wsparcie otrzymują. W postaci transportu, wyposażenia, taktyki” – tłumaczyła pani porucznik Michalska. Zapomniała dodać, że wsparcie dla uchodźców pochodzi głównie ze strony jej kolegów?

TADEUSZ JASIŃSKI

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

mentem naszego bezpieczeństwa. Nasze bezpieczeństwo opiera się na dwóch filarach: współpracy gospodarczej i współpracy w dziedzinie obronności. A Ty, jaką Polskę wybierasz?” – pyta Morawiecki na TikToku.

Racja stanu – żyć dobrze

Pytanie jest tylko z pozoru retoryczne.

Polscy rolnicy, którzy szczególnie boleśnie odczuwają wsparcie dla Ukrainy, mogą uznać, że przeżycie ich rodzin i ocalenie ich gospodarstw jest ważniejsze od geopolityki. Dobrze jest zdać sobie z tego sprawę między jednym a drugim sygnalizowaniem cnoty.

Zwłaszcza że kolejna próba nastąpi 15 września, na kiedy UE zapowiada zniesienie zakazu importu ukraińskiego zboża. Rząd obiecuje, że Polska nie podporządkuje się tej decyzji, ale producenci zboża nauczeni bolesnym doświadczeniem ostatniego roku zdają się nie pokładać w tych zapewnieniach nadmiernej ufności. Teraz Kołodziejczak mówi, że dziś „nasza racja stanu to żyć dobrze z USA i Unią Europejską”, co naturalnie jest przejawem „mądrości etapu”. Dodaje też trafnie, choć niepotrzebnie pokrętnie, że „nie można dzisiaj oceniać kogoś, kto 8 czy 10 lat temu sprzedawał swoje produkty gdzieś za granicę”. Tak, wojna – i jej ofiary – zmieniają priorytety. Byłoby niemoralne, gdyby było inaczej.

Jestem skądinąd ciekawa, co ci wszyscy, którzy chcą powiesić Kołodziejczaka za krytykę USA, powiedzą za kilka miesięcy, kiedy na dobre zacznie się tam kampania wyborcza. Sierpniowy sondaż dla CNN wykazał, że 55 proc. Amerykanów uważa, że Kongres nie powinien zatwierdzać dodatkowych funduszy na wsparcie Ukrainy, a 51 proc. twierdzi, że USA zrobiły już dla niej wystarczająco dużo. Jeśli Joe Biden chce wywalczyć reelekcję, musi posłuchać tych głosów.

Jaja Tuska

Co nie zmienia faktu, że morda antyukraińskiej ruskiej onucy, którą dorabiają Kołodziejczakowi przeciwnicy ze wszystkich stron sceny politycznej – ostatnio mówili o tym jednym głosem Paulina Hennig-Kloska i Antoni Macierewicz – nie jest korzystnym wizerunkiem wyborczym. I nawet jeśli nie zaszkodzi Kołodziejczakowi osobiście, może odbić się na image’u Koalicji Obywatelskiej.

Co mnie akurat, wyznam szczerze, umiarkowanie obchodzi. Bardziej martwi mnie fakt, że jedynie Donald Tusk miał dość jaj, żeby to ryzyko podjąć.

Kołodziejczak nie pasuje do PO – to oczywiste. Wygląda na to, że większość Polaków odczuwa to instynktownie: w sondażu IBRiS dla Polsatu 43 proc. badanych oceniło start Agrounii z list Koalicji Obywatelskiej źle, w tym 26 proc. – zdecydowanie źle. Przeciwnego zdania było 35 proc. (zdecydowanie dobrze porozumienie Tuska i Kołodziejczaka ocenia zaledwie 7,6 proc.). Przyczyny tego krytycyzmu mogą być zgoła różne: jedni zapewne martwią się o wizerunek Platformy, inni oskarżają Kołodziejczaka o zdradę wsi, a jeszcze inni, będąc wyborcami innych partii, mogą po prostu zazdrościć.

Uczciwie przyznaję, że należę do tej ostatniej grupy.

Wróg na opozycji

Wieść gminna głosi, że Michał Kołodziejczak wystosował ofertę koalicyjną do wszystkich trzech formacji „opozycji demokratycznej”. PSL – jak wiemy – chciał z niej skorzystać, ale pomysł utrącił Szymon Hołownia, co było skądinąd kompletnie idiotyczną decyzją i, szczerze mówiąc, nie do końca rozumiem, dlaczego Kosiniak-Kamysz uległ szantażowi młodszego koalicjanta. Podejrzewam, że to przejaw raczej jakiejś personalnej dynamiki niż politycznej strategii.

Ale skoro tak się stało, to Agrounię powinna była natychmiast przechwycić Lewica, a konkretnie partia Razem, której antykapitalistyczny, alterglobalistyczny trzon ideowy jest bardzo bliski ruchowi rolniczego protestu. Co zresztą nie byłoby kompletnie nową znajomością: działacze Razem, w tym posłowie Marcelina Zawisza i Maciej Konieczny, pojawiali się na demonstracjach Kołodziejczaka. Nowa Lewica zapewne nie byłaby zachwycona, ale Czarzasty jest zbyt racjonalny, żeby zerwać z tego powodu działającą od czterech lat koalicję, a Biedronia obchodzi głównie to, czy dostanie swoje na listach.

Pomiędzy Kołodziejczakiem i Lewicą jest oczywiście pewien spór kulturowy, ale przecież jest on również między Kołodziejczakiem i Platformą. W tej chwili – na etapie rejestrowania list – zastanawianie się nad tym nie ma już większego sensu. Na dobre czy na gorsze Michał Kołodziejczak i Agrounia są dziś częścią „opozycji demokratycznej”. O zwycięstwie w tych wyborach może zdecydować kilkaset tysięcy głosów wsi, na przykład tych, które Agrounia odbierze PiS-owi. Dobrze by było, żeby ci, którzy wykrzykują: „Nie ma wroga na opozycji!”, spróbowali wcielić w życie swoje własne hasła.

AWŁ

eprasa.pl d2be744010

Lękajcie się!

Suma wszystkich strachów polskiej prawicy.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

„Strach ma wiele oczu / I widzi pod ziemią” – te słowa z „Don Kichota” Cervantesa Zygmunt Bauman uczynił mottem swej książki „Płynny lęk”. Myśl tego najczęściej cytowanego polskiego humanisty pomaga zrozumieć głębsze pokłady uczuć, które są nieodłączne kampanii wyborczej polskiej prawicy, zwłaszcza zaś PiS-u i Konfederacji. Gdyby odebrać im możliwość łowienia przerażonych obrazem świata – nieważne: prawdziwym czy wyimaginowanym – wokół nas jeleni, to niewiele by pozostało z ich strategii wyborczej.

Poczesne miejsce zajmują w prawej propagandzie strach i lęk. Zacznijmy od powtórzenia za Baumanem, że lęk jest wspólny ludziom i zwierzętom. To pierwotne uczucie. Reakcja zwierząt na to uczucie może być rozmaita, ale oscyluje między ucieczką a agresją.

Jednakże ludzie znają lęk „drugiego stopnia”, lęk przetworzony społecznie i kulturowo, niejako lęk pochodny, który – pisze polski socjolog – „kieruje ich zachowaniem (najpierw przekształciwszy sposób postrzegania przez nich świata i oczekiwania kierujące ich decyzjami behawioralnymi) niezależnie od tego, czy występuje bezpośrednie zagrożenie. Wtórny lęk można postrzegać jako osad dawnych doświadczeń bezpośredniego zagrożenia – osad, który utrzymuje się jeszcze po zdarzeniu i staje się istotnym czynnikiem kształtującym ludzkie zachowanie, nawet jeśli nie ma już bezpośredniego zagrożenia życia czy nienaruszalności”.

Walk klas w przebraniu

Pomimo wszelkich różnic między Kaczyńskim czy Mentzenem obaj są konserwatystami, a chwilami raczej kontrrewolucjonistami, czyli rewolucjonistami wstecznymi. Wszyscy więc, którzy wykluczają ich koalicję po wyborach, mogą się głęboko mylić. Paternalizm pseudosocjalny (bo prawdziwy socjal jest systemowy i nie polega na przekupywaniu gotówką konkretnych grup społecznych) Zjednoczonej Prawicy i skrajny, wilczy kapitalizm konfederatów to nic więcej niż kłótnia w rodzinie. A konkretnie: w rodzinie politycznej partii populistycznej skrajnej prawicy.

Cechą takich partii jest to, że są niczym kameleony i zmieniają swoje barwy w zależności od otoczenia. Nade wszystko, zauważa znawca tematyki, holenderski politolog Cas Mudde, są one formą „polityki moralnej”, oddzielającej ostro złą, wyobcowaną i skorumpowaną elitę od ludu czy też narodu. I co kluczowe – to podział moralny, nie sytuacyjny. Więc nie dziwota, że Kaczyński, członek polskich elit politycznych od grubo ponad 30 lat, psioczy na obrzydliwe elity, strasząc nimi – całkiem skutecznie – miliony wyborców.

Jak śpiewał discopolowy Bayer Full, wszyscy Polacy to jedna rodzina. Ale to rodzina, w której pojawiają się czarne owce. Stąd te wszystkie bajania o „obozie zdrady narodowej” (Kaczyński). A także powtarzane przez kuców z Konfederacji filmiki opatrzone tytułami w stylu „Korwin zaorał lewaka”. Każdy, kto nie przystaje do wymarzonego obrazu Polaka i Polki, jest tak naprawdę „ciałem obcym” w organizmie narodowym, które budzi strach, a niekiedy przerażenie.

Potrzebne są zatem rytuały oczyszczające skażony Naród. I tu wchodzą aż cztery elementy ze sławetnej piątki Mentzena, czyli Polska bez Żydów, homoseksualistów, aborcji i Unii Europejskiej. Niedawno powracający niczym marnotrawny syn na łono partyjne konfederata Dobromir Sośnierz z tępym uporem powtarzał, że Polska znajduje się pod okupacją Brukseli, czego symbolem są dyrektywy unijne. A jak wiadomo, eurokrata (czyli tak naprawdę Niemiec, nawet jeśli wydaje się, że to Belg lub Szwedka) nienawidzi polskości, Kościoła katolickiego, schabowego na talerzu i palenia węglem.

Tu warto zacytować amerykańskiego marksistę Fredrica Jamesona: „Jeśli przyjrzeć się bliżej tradycji konserwatywnej, widać jednak jak na dłoni, że jej motywacją zawsze były różne lęki i niepokoje, a zagrożenia w rodzaju wojny domowej czy miejskiej przestępczości były po prostu figurami walki klasowej. Rynek jest więc Lewiatanem w owczej skórze: jego funkcją nie jest wyzwalanie i utrwalanie wolności (a tym bardziej wolności wyboru politycznego), tylko jej tłumienie”.

Zgniła konserwa

Amerykański politolog Corey Robin w kapitalnej książce o rozumie reakcyjnym zwraca uwagę, że wszyscy konserwatyści dążą do zaprowadzenia, utrzymania czy wzmocnienia ostro zarysowanej hierarchii w trzech wymiarach. Po pierwsze, w rodzinie (władza mężczyzny nad kobietą, dorosłych nad dziećmi), po drugie, w pracy (sztywny podział na właścicieli/szefów i podległych im pracowników), po trzecie – co nie znaczy najmniej ważne – dominacji oświeconych jakoby elit nad zwykłymi ludźmi.

Wbrew temu, co twierdzą konserwatyści, to właśnie oni, a nie feministki czy radykalni lewicowcy wynaleźli wojny kulturowe. I byli doskonałymi psychologami, obeznanymi z mechanizmami dającymi ujście wrogości wymierzonej w te czy inne grupy: a to służące diabłu czarownice, a to czarnych na plantacjach bawełny, a to strajkujących robotników.

Nie starczyłoby skóry wołu, aby przytoczyć wszystkie wypowiedzi dotyczące zagrożeń dla rodziny, która prawakom jawi się jako oblężona twierdza, chroniona tylko przez ojca Rydzyka i Wojowników Maryi. Zagrażają jej feministki, „ideologia” gender, aborcjonistki, edukacja seksualna, liberalne wychowanie, lewacka propaganda, osoby ze społeczności LGBTQ+…

Bawi mnie, gdy moi rówieśnicy, czterdziestokilkuletni faceci z brzuszkiem, panicznie boją się tego, że dwóch facetów publicznie okazuje sobie czułość, ale po cichu – żeby żona i dzieci nie widziały – oglądają porno z lesbijkami w rolach głównych. I, rzecz jasna, nigdy nie pozwoliliby, aby ich gówniarze poznali w szkole rzetelną wiedzę o tym, do czego służy to, co mają między nogami.

Warto zniuansować rzekomą przepaść w kwestiach gospodarczych, która dzieli pisowców, ziobrystów i konfederatów. Gdyby rządzący byli takimi przyjaciółmi ludzi pracy, na jakich się kreują, wzmocniliby Państwową Inspekcję Pracy. Znacznie podwyższyliby też pensje w budżetówce i ukrócili powszechny (jeśli wierzyć moim znajomym i doniesieniom medialnym) – głównie wymierzony w kobiety na najniższych stanowiskach – wyzysk, fatalne warunki pracy i mobbing w urzędach publicznych, czy to państwowych (ZUS!), czy samorządowych (urzędy pracy, magistraty). Nie wspomnę o zapewnieniu godziwego traktowania personelu w kontrolowanych przez państwo firmach.

Pamiętać należy, że choć prawicowi populiści – chcąc osiągać najlepsze z możliwych wyniki – stosują bardzo urozmaicone strategie wyborcze, to łączy ich samozwańcze reprezentowanie „zwykłego człowieka”, „normalnych, ciężko pracujących ludzi”, „płacących podatki” czy też – jak ujął to prezydent Richard Nixon – „milczącej większości”. A ta większość musi raz na jakiś czas urządzać różnego rodzaju Orwellowskie seanse nienawiści rodem z „Roku 1984”, aby realne – czytaj: ekonomiczne – lęki poddać metamorfozie i przenieść do innych sfer, choćby kultury czy spraw intymnych.

W szponach strachu

Bauman wspomnianą na początku książkę „Płynny lęk” opatrzył również dwoma innymi mottami. Słowami francuskiego pisarza Romain Gary’ego („Nie musisz mieć powodu, żeby się bać… Przestraszyłem się, dobrze jednak jest bać się, wiedząc dlaczego…”) i fragmentem mowy inauguracyjnej Franklina Delano Roosevelta („Niech mi wolno będzie zaznaczyć moje niezłomne przekonanie, że jedyną rzeczą, której musimy się bać, jest sam strach”).

W powyższych słowach poszukiwałabym antidotum na szermowanie przez prawicę hasłami, które mają wzmóc strach i lęki z jednej strony, a z drugiej oferować ich – zawsze pozorne! – uśmierzenie. Bo gdyby wyborcy niczego się nie obawiali, to czemu mieliby głosować na Brauna czy Ziobrę, węszących wszędzie wrogów Narodu Polskiego (koniecznie wielkimi literami). A jak głosi słynne hasło prawicowej ekstremy, uwiecznione na ogromnej liczbie koszulek i bluz: „Śmierć wrogom ojczyzny!”.

O starożytnych Galach wiadomo – co było ironicznie przywołane w serii bajek o Asteriksie – że naprawdę wierzyli oni, że niebo może im spaść na głowę. Nie śmiejmy się z nich. Nie jest to bardziej absurdalny strach niż przekonanie, że grube tysiące – a może miliony – uchodźców z Globalnego Południa (zwłaszcza młodzi mężczyźni wyznający islam) przyjadą do Polski i tu osiądą na stałe, gwałcąc słowiańskie blondynki, podpalając kościoły i mordując księży. I przy okazji stworzą nieuchronnie w miastach strefy, do których – ze względów bezpieczeństwa – Polacy, a zwłaszcza rodzime cnotliwe niewiasty, nie będą mieć wstępu.

Paniczny strach i przemożny lęk co prawda zwykle nie zabijają, ale nie dają żyć, zatruwając egzystencję i odbierając rozum. Podsumuję zatem – wcale nie ironicznie – słynnymi słowami JP2: nie lękajcie się!

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

*Od 1968 roku trwa w świecie zachodnim **rewolucja neomarksistowska,** która coraz bardziej pragnie objąć także umysły i serca ludzi żyjących na polskiej ziemi. Mamy do czynienia najpierw z zamachem na samą prawdę, ponieważ mówi się, że każdy ma własną prawdę. Stąd narracje, które nijak mają się do obiektywnych faktów.*

abp Marek Jędraszewski, homilia, 15 sierpnia

*Można by się spodziewać, że raport ONZ, który miał dotyczyć prześladowań religijnych, będzie dotyczył przede wszystkim **prześladowań chrześcijan,** bo statystycznie codziennie kilkanaście osób traci życie tylko przez to, że wierzy w Boga. Tymczasem raport ONZ o prześladowaniu religijnym na świecie dotyczy tego, że niektóre religie, zwłaszcza chrześcijaństwo, mówią, że istnieje grzech, a mówiąc, że jest grzech, wprowadzają podziały między ludźmi i przez to piętnują tych, którzy są grzesznikami. Więc według ONZ trzeba by zabronić Kościołom głoszenia prawdy o tym, że jest grzech, i ograniczyć ich wolność. To kolejny trudny do wyobrażenia **przejaw totalitaryzmu ideologicznego.** W imię wolności walczyć z prawdą Ewangelii.*

dalej Jędraszewski

*Wraz z wdrażaniem edukacji włączającej za obce fundusze do polskich szkół masowych napłynęła w ostatnich dwu latach fala psychologów, pedagogów i tzw. pedagogów specjalnych, którzy mają odpowiedzieć na rosnące „zróżnicowane” potrzeby uczniów. Nikt nie neguje świadczenia pomocy, tam gdzie pojawiają się potrzeby, jednak istnieje bezpośredni związek masowego zjawiska **psychologizacji polskiego szkolnictwa** z projektem inkluzji, który zakłada radykalną zmianę formuły szkoły i jej zadań.*

Hanna Dobrowolska, PCh24.pl, 22 sierpnia

*Zbyt rzadko porusza się niezwykle istotną kwestię kompetencji kadr wykształconych na **lewicujących uniwersytetach** i ich psychologicznych oraz pedagogicznych kierunkach według panującej tam mody na inkluzję ze wszystkimi równościowymi różnorodnościami. To te kadry promują **neuroróżnorodność** – nie tylko uczniów, ale i pedagogów! To te kadry często **genderyzują uczniów w szkołach** – wbrew zdrowemu rozsądkowi marginalizowanych wychowawców i nauczycieli przedmiotowych. To one otwierają dzieciom wrota do niszczącej tranzycji pod hasłami wsparcia psychicznego i niewykluczającej nikogo akceptacji.*

dalej Dobrowolska

*Dlaczego opozycja z takim uporem promuje sprawy światopoglądowe z aborcją na czele? Spotkałem się z ciekawą tezą na ten temat. Otóż kwestie te promują przede wszystkim finansowane z zewnątrz lewicowe organizacje pozarządowe, realizujące w zasadzie ten sam program we wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej. To jest ich główne zadanie: **przeprowadzić rewolucję społeczną,** i to bez względu na koszty. Te właśnie NGOS-y podtykają tę tematykę najpotężniejszym mediom i politykom opozycji.*

Jacek Karnowski, „Idziemy”, 19 sierpnia

*Życie jest wartością o wiele cenniejszą niż zdrowie. W przypadku kiedy pojawia się zagrożenie dla zdrowia kobiety nie mamy moralnego prawa, żeby **przerwać życie nienarodzonego** dziecka.*

Magdalena Guziak-Nowak, sekretarz zarządu Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka, Radio Maryja, 21 sierpnia

*Możemy mówić dzisiaj o pełnym triumfie **lobby aborcyjnego** w naszym kraju. Grupa **wrzeszczących feministek** (bez większego poparcia społecznego), które z wielką agresją przechodzą przez nasze ulice, sterroryzowała państwo polskie. To stan przykry, ale budzący też moją odrazę.*

Jacek Kotula, radny Sejmiku Województwa Podkarpackiego, Radio Maryja, 22 sierpnia

WYBRAŁ KLECHA

eprasa.pl d2be744010

Polska jebie nudą

Krótka historia III RP dla ubogich.

Rys. HENRYK CEBULA

Przez 34 lata III RP nie mieliśmy ani jednego wpływowego ideologa, który jakkolwiek nakreśliłby kierunek rozwoju państwa, a jedyny faktyczny reformator Leszek Balcerowicz wszystkie swe genialne recepty dostał od Jeffreya Sachsa, który po latach przyznaje, że były błędne.

Rząd Mazowieckiego (1989–1991), w którym Balcerowicz był ministrem finansów, nakreślił ramy nowego ustroju Polski. Przez kolejne dwa lata troje premierów (Jan Krzysztof Bielecki, Jan Olszewski, Hanna Suchocka) zajmowało się głównie problemami, które sami tworzyli – personaliami, wciąż rozpadającymi się koalicjami rządowymi, aferami i rzecz jasna lustracją. Reformowanie kraju postępowało siłą rozpędu, bo rząd nie miał głowy, aby je przyśpieszyć bądź zatrzymać.

Na kursie

Triumfalny powrót lewicy do władzy (1993–1997), przypieczętowany zwycięstwem Kwaśniewskiego nad elektrykiem ze stoczni, rozpoczął okres spowolnienia przemian, lecz nie zmiany kursu.

Ówczesny radykalizm Sachsa, a co za tym idzie, jego ucznia Leszka B., doprowadził do sytuacji, w której Rzeczpospolita była wprawdzie reformatorskim stachanowcem, ale nie dało się w niej normalnie żyć. Rząd SdRP zaczął spowalniać transformacyjny pęd, a całą czterolatkę można określić jako sprzątanie bałaganu w duchu kompromisu.

Symbolem tego kompromisu jest polska konstytucja.

Zamiast postępowej ustawy zasadniczej mamy książeczkę, której preambułę napisał kościółkowy red. Stefan Wilkanowicz z absolutnie absurdalnym rozróżnieniem obywateli na wierzących (w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna) i niewierzących (te wartości wywodzących z innych źródeł).

Może dlatego, że kompromis z natury rzeczy nie zadowala żadnej ze stron, czerwoni stracili władzę po czterech latach, zawiódłszy sieroty po Polsce Ludowej, a jednocześnie nie przekonawszy przepojonych resentymentami solidaruchów.

Na scenę znów wkroczył Leszek B. z kolejnym pakietem utrzymanych w tym samym duchu reform: administracyjną, emerytalną, oświatową i zdrowotną. I tak jak osiem lat wcześniej, gigantyczne koszty były niewspółmiernie wyższe od ewentualnych zysków. Podniesienie nauczycielom pensji, choćby o 20 proc., zdecydowanie lepiej wpłynęłoby na oświatę niż przeniesienie dzieci z siódmej klasy podstawówki do pierwszej gimnazjum (analogiczny zarzut tyczy się odwróconej reformy Zalewskiej). Zwiększyć władzę samorządów można by bez degradowania 33 miast wojewódzkich i tworzenia dodatkowego szczebla powiatowego itd., itp.

Wodzu, prowadź!

Leszek Miller, który w 2001 r. zdetronizował AWS i UW, był politykiem pod wieloma względami znaczącym. Jako pierwszy zbudował w Polsce partię wodzowską. Był też pionierem w zakresie budowania polityki opartej wyłącznie na emocjach – w jego przypadku z jednej strony na poczuciu przywracania godności ofiarom transformacji, z drugiej – na europejskim śnie o przyszłości. Rząd Millera (2001–2004) był pierwszym w III RP, który nie chciał niczego reformować. Najważniejsza była opowieść, którą Miller snuł, nie zważając na kreowaną przez siebie rzeczywistość. Odbieranie ofiarom transformacji ulg na przejazd koleją i dopłat do barów mlecznych nie przeszkadzało mu kreować się na obrońcę sierot po PRL.

Większość komentatorów sądzi, że Millera władzy pozbawiła afera Rywina. Moim zdaniem stał się on ofiarą własnej strategii. Ani Kaczyński, ani Tusk nie mieli szans na większe sukcesy w partiach, gdzie na zebraniach zarządu toczyły się prawdziwe dyskusje, a celem partii była przemiana kraju. Przez całe lata 90. Kaczyński z Tuskiem kręcili się na marginesie życia publicznego. Dopiero w erze populistycznej i wodzowskiej polityki poczuli się jak ryby w wodzie. Miller został pokonany przez swoich młodszych kolegów w dyscyplinie, którą sam wprowadził na salony.

Dwa obozy

Od 2005 r. mamy w Rzeczpospolitej dwa obozy populistyczne, różniące się wyłącznie narracją i nieskore do poważnego reformowania kraju. Z jednej strony obóz pisowski – nacjonalistyczny, klerykalny i wsteczny. Z założenia zagospodarowujący tę bardziej eurosceptyczną część społeczeństwa. Będący na (werbalnej) wojnie z lepiej wykształconymi, a co za tym idzie, na ogół bogatszymi i mieszkającymi w miastach (sędziowie, lekarze, przedsiębiorcy, nauczyciele *etc.*). Skupiający osoby, którym w życiu nie wyszło, ale się do tego nie przyznają, zatem łase są na powody do dumy takie jak prymitywny patriotyzm.

Z drugiej strony obóz peowski – względnie nowoczesny i zagospodarowujący tę bardziej postępową, mniej nacjonalistyczno-klerykalną część społeczeństwa. Jego elektoratem są ludzie, którym udało się zdobyć wykształcenie, mieszkanie, względnie dobrą pracę i wyjechać na wakacje za granicą. Też są zakompleksieni, ale ich kompleksy odnoszą się nie do sytuacji własnej, którą oceniają jako niezłą, lecz do współobywateli i ogólnej kondycji kraju. Zatem wrogiem obozu PO są wszelkiej maści grupy społeczne, które nie pchają Polski do przodu: niewykształceni, rodziny wielodzietne, niepracujący, renciści i emeryci, niewykwalifikowani robotnicy czy nieefektywni chłopi małorolni.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Paradoks polega na tym, że większość Polaków uważa, iż żyje im się źle i nie są ludźmi sukcesu (zatem powinni być w elektoracie PiS), a z drugiej strony wciąż mają europejskie aspiracje i marzenia o postępie (więc bliżej im do opowieści PO). Wobec tego od 2005 r. PiS próbuje ośmieszyć Polakom wciąż atrakcyjne wartości prezentowane w opowieści PO, podkreślając, że jego bajka kierowana jest do większości społeczeństwa. Z kolei PO odżegnuje się od charakteryzowania, do kogo kieruje swą narrację, ale robi wszystko, aby Polacy znów uwierzyli, że Polska z ich bajki jest możliwa.

Łatanie demograficznej dziury

Tymczasem realna polityka pozostaje niezmienna – integracja europejska postępuje, a nikt w historii nie związał Polski z UE tak silnie jak Morawiecki. Wzrost PKB i inflacja są relatywnie wysokie, a bezrobocie niskie. Nierówności są duże, ale stabilne. Może gdyby rządziła PO, mielibyśmy minimalnie wyższe bezrobocie i nieco niższą inflację. Wszakże inflacja i tak by wzrosła po przekazaniu gigantycznych pieniędzy przedsiębiorstwom w trakcie pandemii, po wybuchu wojny i rozkręceniu spirali marżowo-cenowej. Z kolei bezrobocie z przyczyn demograficznych i tak by spadało niezależnie od tego, kto by rządził. Pogorszenie się jakości usług publicznych postępuje: nauczycieli, lekarzy i pielęgniarek jest coraz mniej i są coraz gorzej opłacani. PiS obniżyło wymagania w kształceniu lekarzy, aby ograniczyć spadek ich liczby. PO pewnie by tego nie zrobiła, bo obecni lekarze (stanowiący elektorat Platformy) niechętnie patrzą na głupszych kolegów. Statystycznie po reformie będziemy stać krócej w kolejkach, ale gorzej się leczyć. W praktyce ani reformy PiS, ani jej braku ze strony PO nawet nie zauważymy, gdyż dotyczy minimalnej części nowych lekarzy. Obie partie (podobnie jak wszystkie pozostałe, rządzące w III RP) prywatyzują w duchu balcerowiczowskim oświatę i służbę zdrowia, a także inne usługi publiczne.

Za najważniejszą reformę ostatnich lat uznaje się wprowadzenie 500+. Była ona tak przełomowa, że po ostatnim skoku inflacji poziom ubóstwa wrócił do poziomu sprzed jej wprowadzenia, a na demografię i tak nie miała żadnego wpływu. Obie strony sporu politycznego wiedzą, że imigracja jest konieczna, aby załatać demograficzną dziurę w starzejącym się społeczeństwie. Dlatego Tusk, tak jak Kaczyński, zwiększałby liczbę zezwoleń na pracę tymczasową (świadomy, że większość tych pracowników zostanie na stałe), a Kaczyński, tak jak dziś Tusk, krytykowałby go za to i grał na antyimigranckich nastrojach. Podatki są na stabilnym, relatywnie niskim poziomie, a wzrostu udziału podatków w płacy o 2 proc. przez osiem lat większość społeczeństwa nawet nie zauważa. Zarówno PiS, jak i PO mają w społeczeństwie wrogów, których kreują celowo i podsycają walkę z nimi ku uciesze publiczności. PiS od ośmiu lat walczy z sędziami, choć wie, że sędziowie w swej masie nigdy nie będą pisowcami, bo pod każdym względem odbiegają od profilu jego wyborców. Zatem wymiana całego środowiska na wspierające PiS jest niewykonalna. Z kolei PO walczyła ze związkowcami pisowskiej Solidarności, choć można było sukcesywnie obniżać wydobycie węgla i zamykać kopalnie bez burd na ulicach, co akurat udowodniło PiS. Wszakże tak jak PiS walczy z „sędziowską kastą", tak PO walczyła ze „związkowymi nierobami".

Na haju ku tęczy

W kwestiach obyczajowych następuje stabilny postęp. Społeczeństwo odchodzi od Kościoła, coraz przychylniej patrzy na homoseksualistów i legalizację marihuany.

PiS wprawdzie grzmi o ideologii LGBT, ochronie dzieci i klechów, ale w żaden sposób nie zapobiegło i nie zapobiegnie odchodzeniu, szczególnie młodych, z Kościoła.

Osobom LGBT nigdy nie żyło się tak dobrze jak dziś i żeby była jasność, nie jest to zasługa PiS, lecz polskiego społeczeństwa, które coraz szerzej akceptuje nienormatywność seksualną i płciową. Podobnie marihuana nigdy nie była tak łatwo dostępna. PO być może zalegalizowałaby związki partnerskie i zdepenalizowała posiadanie marihuany, ale poziom akceptacji LGBT i ilość posiadanej marihuany by od tego nie drgnęły.

Zaostrzenie prawa aborcyjnego wywołało ogromne protesty, mimo że 99 proc. aborcji Polki i przed wyrokiem trybunału Julii Przyłębskiej (2020 r.) dokonywały za granicą lub nielegalnie z przyczyny, którą określa się mianem „na żądanie".

W PRL i początkach III RP mieliśmy mnogość różnorakich koncepcji na rozwój państwa, zarówno w sferze politycznej, gospodarczej, jak i społeczno-kulturowej.

Przez ponad 30 lat tzw. wolnej Polski wszyscy teoretycy myśli politycznej, politolodzy i filozofowie polityki, którzy istnieją w przestrzeni publicznej, musieli zaakceptować jako dogmat nakreśloną przez Balcerowicza i nieco skorygowaną po wstąpieniu do UE zachowawczą neoliberalną demokrację burżuazyjną. Kłócić się można wyłącznie o wydumane problemy, w dłuższej perspektywie nieistotne.

Umiarkowani kontestatorzy powyższych reguł mogli znaleźć sobie miejsce na uniwersytetach i pisać książki, których nikt nie czyta. Gdyby tylko próbowali wyjść do ludu, okrzyknięto by ich mianem politycznych klaunów. Nie ma więc w Polsce realnych środowisk komunistycznych, anarchistycznych, leseferystycznych, endeckich czy eurofederalistycznych, a co za tym idzie – powodów do wywoływania politycznych wojen. Zagorzała kodziara z tęczą wytatuowaną na czole może usiąść do stołu ze swoją pisowską matką, która nie wyłącza TVP Info, a pół emerytury rzuca na tacę. W fundamentalnych sprawach zapewne prawie się od siebie nie różnią.

MAREK SANOWSKI

eprasa.pl d2be744010

WIARA CZYNI CZUBA

1. Parlament Pakistanu przyjął nowelizację kodeksu karnego, która zaostrza karę za obrażanie którejkolwiek z żon proroka Mahometa (miał ich 13). Dotychczas groziły za to maksymalnie trzy lata więzienia i/lub grzywna. Teraz kara wynosić będzie od 10 lat do dożywocia. Karany będzie każdy, kto „bezpośrednio lub pośrednio znieważa święte imię każdej żony, członka rodziny lub towarzysza Mahometa poprzez słowo pisane, słowo mówione, wizualną reprezentację, imputację, sugestię lub insynuację". Pojęcie „towarzysze Mahometa" odnosi się do każdego muzułmanina, który poznał proroka osobiście. Nowe prawo uzupełnia wcześniejsze, stanowiące, iż za obrazę Mahometa i innych proroków islamu (w tym Abrahama, Mojżesza, Eliasza, Jezusa i innych postaci biblijnych) grozi kara śmierci, a za znieważenie Koranu dożywocie.

2. Czasem sąd jest niepotrzebny. W Fajsalabadzie we wschodnim Pakistanie ktoś wrzucił na lokalną stronę jednego z portali społecznościowych zdjęcie płonących stron Koranu. Zainspirowało to lokalnych mułłów do kampanii społecznej prowadzonej przez meczetowe głośniki. „Chrześcijanie zbezcześcili Święty Koran. Wszyscy wierni, wszyscy muzułmanie powinni się zjednoczyć i zebrać przed meczetem. Lepiej umrzeć, jeśli nie zależy ci na islamie" – wzywał jeden z nich. Wierni najwyraźniej nie chcieli umierać: setki uzbrojonych muzułmanów zaatakowało chrześcijańską dzielnicę. Obrońcy wiary podpalili 15 kościołów i kilkadziesiąt domów swoich chrześcijańskich sąsiadów, którzy przezornie spieprzyli, słysząc wezwania do minidżihadu. Przed podpaleniem obrońcy wiary podpieprzyli z domów niewiernych wartościowe przedmioty.

3. Amerykańska sieć sklepów Target odnotowała spadek sprzedaży – po raz pierwszy od sześciu lat – wynoszący 5,4 proc. To wielki sukces bojkotu, który ogłosili chrześcijańscy fundamentaliści po tym, jak Target w czerwcu, będącym na całym świecie Miesiącem Dumy LGBTQ+, zaoferował swoim klientom ubrania w kolorach tęczy, a także, jak donosi z oburzeniem katolicka agencja CNA, „kostiumy kąpielowe w stylu kobiecym, mające pomóc ukryć genitalia mężczyznom identyfikującym się jako osoby transpłciowe". Były też – o zgrozo – kostiumiki dziecięce odpowiednie dla „wielu typów ciała i ekspresji płciowych". „Jak się okazuje, współpraca z satanistami w celu narzucenia transpłciowości dzieciom nie była mądrą strategią biznesową" – triumfuje chrześcijański przedsiębiorca Michael Seifert.

4. Opinia Seiferta jest ważna, albowiem jest to założyciel i dyrektor generalny sklepu online PublicSq., prezentującego się jako „konserwatywna konkurencja Amazona". PublicSq. powstał zaledwie dwa lata temu, a już ma 1,4 mln użytkowników i Seifert zapowiada, że w przyszłym roku zacznie przynosić zyski. Choć nie o zyski chodzi. To z „miłości i oddania Bogu" Seifert postanowił „zbudować platformę handlową, która łączy konsumentów z przedsiębiorstwami będącymi za życiem, rodziną i wolnością". Sukces platformy wynika w znacznej mierze z nowej marki pieluch EveryLife, oferującej „produkty premium dla każdego dziecka, ponieważ każde dziecko jest cudem Bożym". Slogan firmy brzmi: „Jesteśmy zjednoczeni w naszym oddaniu wolności i prawdzie, i to jest to, co czyni nas Amerykanami".

5. Niejaka Jennifer Meeks, żona republikańskiego stanowego kongresmana z Arkansas Stephena Meeksa (ich nazwisko oznacza „pokorni", jak w „błogosławieni cisi i pokornego serca"), jeździ po okolicy, wbija się ludziom na podwórka i dokonuje nalotu na Małe Darmowe Biblioteki (LFM: to te miejsca, gdzie można zostawić przeczytane już książki i wziąć sobie inne za darmo). Jennifer zabiera stamtąd książki, które uważa za demoralizujące, i zastępuje je Bibliami z drugiej ręki, kupowanymi w sklepach charytatywnych. Wyjaśnia: „Z tego, co widziałam, wiele książek w Małych Bibliotekach jest niezgodnych z naszymi chrześcijańskimi wartościami. Dzisiaj zobaczyłam kilka na temat Miesiąca Dumy LGBT! Jest grupa lewicowców, szczególnie w Conway, którzy bardzo aktywnie zaopatrują Małe Biblioteki". No po prostu zgroza.

6. Republikański gubernator Teksasu Greg Abott w ramach walki z nielegalną imigracją kazał umieścić piły tarczowe pomiędzy olbrzymimi bojami przedzielającymi rzekę Rio Grande (granica z Meksykiem) w nadziei, że natkną się na nie uchodźcy usiłujący sforsować barierę. Administracja Bidena zaskarżyła ten pomysł, argumentując, że Rio Grande to rzeka żeglowna – nawet jeśli nie wszystkie jej fragmenty obecnie nadają się do żeglugi – i jako taka podlega władzom federalnym. Prawnicy Abotta znaleźli odpowiedź w Biblii: „Jeśli wziąć dosłownie Księgę Rodzaju, cały świat był kiedyś żeglowny, i do dla łodzi wystarczająco dużych, aby przewozić znaczną liczbę zwierząt. Zgodnie z teorią rządu federalnego uczyniłoby to każdą strukturę zbudowaną w dowolnym miejscu w Teksasie przeszkodą w nawigacji podlegającą przepisom federalnym".

7. Arcybiskup Kolonii, kardynał Rainer Maria Woelki, wyraził „głębokie rozczarowanie" wewnętrznym raportem stwierdzającym, że pracownicy jego archidiecezji wchodzili na strony pornograficzne. „Niektórym konsumpcja pornografii może wydawać się nieszkodliwa. Ale ja jestem w tej sprawie z papieżem Franciszkiem, który jednoznacznie potępia ją i ostrzega przed jej podstępnymi niebezpieczeństwami, w szczególności rażącym naruszeniem godności osoby ludzkiej. Po zapoznaniu się z tymi niepokojącymi wiadomościami natychmiast nakazałem dokładne zbadanie incydentów" – powiedział Woelki. Niemieckie media zapewniają, że wewnętrzne dochodzenie archidiecezji oczyściło kardynała, potwierdzając, że nie był on jednym z „użytkowników inkryminowanych stron".

Watykan w końcu podzielił się swoim bogactwem!

Ile dewiz ma papież?

No, nie do końca. Podzielił się, ale nie bogactwem, tylko informacjami o nim. I nie z potrzebującymi, a z opinią publiczną.

W ubogim żłóbku leżeli

Majątek Kościoła kat. to temat niezgłębiony. Zliczyć wszystkie dobra należące do centrali i poszczególnych Kościołów lokalnych, do instytucji i fundacji, wreszcie do pojedynczych funkcjonariuszy – niepodobna. Administracja Dóbr Stolicy Apostolskiej – czyli urząd odpowiedzialny za papieską kasę – opublikowała raport, w którym przedstawiono stan posiadania głównego ośrodka Kościoła kat.

W raporcie wyliczono nieruchomości posiadane przez Watykan. Te niesakralne, czyli kościołów nie wliczono. Z raportu wynika, że malutkie państewko leżące na terytorium Włoch posiada 4072 nieruchomości o łącznej powierzchni około 1,5 mln km kwadratowych. Ich wartość kiedyś, kilkanaście lat temu, wyceniano na ponad 60 mld euro. Przy dzisiejszych cenach jest to zapewne wiele więcej. Większość papieskich nieruchomości – 92 proc. – znajduje się w Rzymie. Reszta we Francji, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii. Zaczynali od stajenki, a kończyli na stajniach. Oprócz mieszkań, muzeów, klasztorów, bibliotek i garaży Watykan posiada także stajnie właśnie. Dobrze, że w Watykanie nie rządzą pisowcy, bo rozjebaliby jak stadninę w Janowie Podlaskim.

Za te nieruchomości Watykan zapłacił państwu włoskiemu w ubiegłym roku 6 mln euro podatków. Zawsze coś.

W raporcie nie wspomina się wszakże o budynkach przeznaczonych do kultu religijnego: kościołach, katedrach, bazylikach, sanktuariach. A jest ich w samym tylko Rzymie prawie 1000 (dla porównania – w Warszawie 283). Znajdują się w nich dzieła sztuki i zabytki o trudnej nawet do oszacowania wartości.

Siankiem się okryli

Finanse Watykanu to od lat stajnia Augiasza. Poza nadzorem międzynarodowych instytucji i służb, idealne miejsce do prania brudnych pieniędzy, defraudacji i korupcji.

Kolejni papieże próbowali jakoś te kwestie porządkować, ale w zderzeniu z finansjerą nikt w pojedynkę nie da rady. Starsi bracia w wierze mogą być pod wrażeniem poziomu wyrafinowania w operacjach finansowych.

Szef administracji dóbr Stolicy Apostolskiej bepe Nunzio Galantino, prezentując raport, oświadczył: „Jesteśmy wszyscy przekonani, że dobra reputacja Kościoła w rozporządzaniu tym, co zostało mu powierzone przez hojność wiernych, stanowi podstawowy czynnik dla wiarygodności jego głoszenia". Papież Franciszek transparentność finansów niesie na swym sztandarze od początku pontyfikatu, ale dotychczasowe próby reformy tej najważniejszej sfery działalności Kościoła kat. albo spełzają niemalże na niczym, albo kończą się skandalami. Przy tak ogromnych sumach nawet św. Franciszek miałby pokusy. „A kto nie ma pokus?" – jak zapytywał nasz krajowy kościelny specjalista od finansów Tadeusz Rydzyk w kontekście nieco innym, bo seksualnym. A to, co nas podnieca, to kasa i seks.

Franciszek przyjął nawet imię po świętym biedaczynie z Asyżu, żeby podkreślić, że kasa go nie obchodzi. Ale jak prześledzić jego poczynania, to jest to jeden z głównych obszarów zainteresowań aktualnego papieża. Cała ta transparentność i reforma finansów mają przecież służyć utrzymaniu płynności finansowej Kościoła kat. i odzyskaniu wiarygodności wśród ludzi. Nikt przecież nie będzie łożył na złodzieja.

Pastuszkowie przybywajcie

O obrotach milionów watykańskich opowiada nieco kard. Konrad Krajewski, nasz rodak i jałmużnik papieski. Odpowiada on za rozdawanie pieniędzy potrzebującym. Na spotkaniu z pielgrzymami z Łodzi w Rzymie mówił: „Mamy olbrzymie pieniądze. Tym denerwuję na ogół biskupów, bo mówię: mamy nieprawdopodobne pieniądze, ale nie na to, co ksiądz biskup chce. Dla biednych tak, na kurie nie, na dachy nie, na różne inne rzeczy nie, dla biednych tak. Mamy przede wszystkim z tych błogosławieństw, które są na pergaminie pisane. W tym miesiącu już 15 tysięcy ich przygotowaliśmy, rozchodzą się w różnych językach. 25–50 euro za każde błogosławieństwo i to jest nasz stały dochód, który mamy każdego dnia, i tymi pieniędzmi dysponujemy. Oprócz tego ludzie mają takie zaufanie do papieża Franciszka, że to są nieprawdopodobne sumy, które przychodzą ze świata".

Kiedyś odpusty, dziś błogosławieństwa. Lutrowi się tezy w kieszeni otwierają. A co do zaufania bogatych ludzi, to zawsze je mieli do banku watykańskiego. Pieniądze wychodzą z Watykanu czyste jak sumienie penitenta po spowiedzi. Największym marzeniem bogacza jest przecież trafić do raju… podatkowego.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Szczecińska radna Platformy Obywatelskiej Dominika Jackowska podała w mediach społecznościowych emocjonalny wpis kobiety, która twierdziła, że pewien ksiądz masturbował się na plaży przy jej córce. Radna podała personalia i zdjęcia księdza. Faktycznie wezwana policja ukarała księdza mandatem, choć nie stwierdziła, że masturbował się przy dzieciach. Dalej sprawa przebiegła tak: ksiądz z tych lub innych powodów skoczył pod pociąg i poniósł śmierć. Prawica dostała wzmożenia. Oburzyli się bardzo radny prawicy ze Szczecina, bliski współpracownik Zbigniewa Ziobry Dariusz Matecki oraz lokalny dziennikarz, szef Radia Szczecin Tomasz Duklanowski. Otóż obaj panowie mają na sumieniu zaledwie kilka miesięcy temu kolportowanie w mediach społecznościowych danych posłanki Małgorzaty Filiks z PO i jej syna, który był molestowany przez innego pedofila. Mikołaj Filiks nie uniósł tego i także popełnił samobójstwo. Przynajmniej Dariusz Matecki deklaruje się jako zagorzały katolik. Nam się zdaje, że to hipokryta i immoralista.

✚ Odchodząc od tego smutnego wątku, coś kabaretowego. Nieoceniony ks. Michał

eprasa.pl d2be744010

Święci z czerwonej uprawy

Skaza na wizerunku rodziny Ulmów.

W miejscowości Gać w województwie podkarpackim znajduje się wybudowany w latach 1935–1936 Orkanowy Uniwersytet Ludowy. Założycielem i kierownikiem uniwersytetu był inż. Ignacy Solarz (1981–1940), znany wówczas działacz ludowy i oświatowy, organizator pierwszego Uniwersytetu Ludowego w Szycach, oraz jego małżonka Zofia – „komuniści", których zapalczywie zwalczał Kościół katolicki. Niebawem na naszych oczach dokona się najlepszy dowcip współczesnego nurtu klerykalno-nacjonalistycznego: dwoje wychowanków „marksistowskiej zarazy" z podkarpackiej Gaci zostanie wyniesionych na ołtarze.

Kraina gównem płynąca

Dwudziestolecie międzywojenne to chyba najbardziej wyidealizowany okres w historii Polski. Proces jego patologicznej mitologizacji zaczął się na początku drugiej wojny światowej, aby przybrać na sile w PRL. Problem w tym, że obraz kraju nad Wisłą malowany pocztówkowym pejzażem miał i wciąż ma się do rzeczywistości jak pizda do furażerki Piłsudskiego. Bajanie o II Rzeczypospolitej jako o raju utraconym jest nad wyraz infantylne.

Nędza, głód i smród szczelnie wypełniały zakamarki miast i wsi, mieszkańców tych drugich dodatkowo spychając do kategorii podludzi. Bardzo licznej grupy podludzi.

Według spisu ludności z 1931 r. ludność wiejska stanowiła 73 proc. mieszkańców Polski. Według szacunków historyka Ferdynanda Zweiga w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego na polskiej wsi żyło blisko 5,5 mln tzw. ludzi zbędnych, czyli wielodzietnych rodzin wegetujących na mikroskopijnych gospodarstwach albo nieposiadających własnej ziemi.

Mimo wprowadzenia w 1919 r. obowiązku szkolnego dla dzieci w wieku od 7 do 14 lat w 1931 r. 27,6 proc. ludności wiejskiej w wieku 10 lat i więcej stanowili analfabeci (dla porównania w miastach było to 12,2 proc.). Pustej kichy, mimo najlepszych chęci, nauką się nie wypełni – kto chciał jeść, musiał zapierdalać. Inna sprawa, że władzy – wbrew pozorowanym na dobre chęciom – budowanie wiary we własną siłę sprawczą przez edukację wśród chłopstwa nakazywało pełną lęku czujność i było, delikatnie mówiąc, nie na rękę. Wiejski pachoł miał płacić podatki i nie wymagać niczego w zamian. Gdy nie płacił, administracja państwowa pacyfikowała niesubordynację na wszelkie możliwe sposoby. Na chłopski bunt też znaleziono lekarstwo: bicie gumami po stopach, rwanie włosów, wbijanie drzazg pod paznokcie otwierały listę atrakcji na posterunkach policji, które miały za zadanie ostudzić zapędy podludzi zbyt wysoko podnoszących łby.

Człowiekiem sprowadzonym do parteru rządzi się łatwiej. Zacofanie wsi było buforem chroniącym pańską dupę przed chłopskim wkurwem.

Chłop idzie na uniwersytet

„Wiejski uniwersytet ludowy – chce uczynić z chłopa człowieka samodzielnej myśli indywidualnej, pragnie, by chłop pozbył się duszy pańszczyźnianej, a obudził w sobie tę drugą, drzemiącą, uczynił ją wolną, czującą swą godność, równość społeczną, świadomą swych wartości i chłopskich zadań" – pisał Ignacy Solarz w książce „Wiejski Uniwersytet Orkanowy" w 1937 r.

Idea uniwersytetów ludowych – formy pozaszkolnej edukacji młodzieży i dorosłych – została zapoczątkowana w XIX w. w Danii przez Mikołaja Fryderyka Seweryna Grundtviga, pisarza, poetę, pastora i nauczyciela. Nowatorski wówczas pomysł zakładał oparcie edukacji na takich aspektach jak: przeciwdziałanie marginalizacji, partnerstwo na linii wychowawca–wychowanek, samorządność i odpowiedzialność członków wspólnoty edukacyjnej, społecznej, szerzenie nowoczesnej oświaty rolniczej oraz szeroko rozumiana animacja społeczno-kulturalna środowisk lokalnych. Nacisk kładziono również na wychowanie obywatelskie i rozbudzenie świadomości kulturowej, co było absolutnym przełamaniem konwenansu traktowania jak podgatunku wepchniętej we wszelkie wykluczenie społeczności wiejskiej.

Nowe dotarło do Polski i w myśl zasady „co twoje, to moje, co moje, to nie rusz" szybko stanęło snopkiem w gardłach społecznie uprzywilejowanym.

Pierwszy uniwersytet ludowy powołany przez Solarza w 1924 r. w małopolskich Szycach został zamknięty z hukiem przez władzę siedem lat później za „sprzyjanie ideom komunizmu".

Próbę nakłaniania ludności wiejskiej do czynnej roli w procesie tworzenia się nowej demokracji poprzez taki sposób wychowania młodzieży, który miał ją uchronić przed ubezwłasnowolnieniem, manipulacją polityczną i wreszcie konserwatywnymi wzorcami, całkiem po chrześcijańsku ochrzczono marksizmem.

Solarzowie przenieśli się na Podkarpacie. Początkowo prowadzili zajęcia w chłopskich izbach we wsi Markowa i Gaci Przeworskiej. Pierwszy kurs uniwersytetu WUO małżeństwo Solarzów zainicjowało 15 listopada 1932 r. W 1933 r. zapadła decyzja o budowie siedziby uniwersytetu, który zlokalizowano na tzw. Młynisku, zwanym później Gacką Górką. Projekt budynku w stylu zakopiańskim opracował architekt Jan Koszyc Witkiewicz, stryjeczny brat Witkacego. Budowę zrealizowano dzięki składkom społecznym i zaangażowaniu mieszkańców okolicznych wsi. W 1936 r. siedziba uniwersytetu zwana Świetlistym Domem była gotowa. Na Gackiej Górce zamieszkał szatan.

Jezu, komunizm!

Solarzowie rozbili bank: Gać okazała się fenomenem. Młodzież, którą po raz pierwszy ktoś potraktował inaczej niż jako dodatek do pługa i cepa, tłumnie ciągnęła do Świetlistego Domu. Trzymiesięczne kursy na uniwersytecie stały się tak popularne, że chętni zjeżdżali z całego kraju. Monolit wiejskiego krajobrazu zaczął pękać, nowe pokolenie chłopek i chłopów uczyło się mieć w dupie niewolniczą służalczość.

Nie uszło to uwadze kleru, który zaczął urządzać histerię na znaną modłę. W 1936 r. prymas August Hlond w edukacyjnym zrywie wsi dostrzegł „mobilizację radykalizmu i rewolucję".

„Uniwersytety ludowe, wychowujące fanatyków wsi bezbożnej, stanowią wielką ujmę dla ducha i honoru wiejskiego" – obwieścił zupełnie jak na klechę przystało, czyli bez sensu, a zawtórował mu chór przedstawicieli reżimu katolickiego. Interes narodowy i uprzedzenia miały za wszelką cenę zepchnąć chłopskie aspiracje tam, skąd wylazły – w kupę gnoju. Logika, ekonomia i uczciwość poszły się jebać, liczyło się to, kto ma więcej wierzących, a uniwersytety ludowe zaczęły kruszyć stary monopol.

Według Hlonda „na ziemie polskie zaczął wdzierać się komunizm, który walcząc z Bogiem oraz promując postęp i odrodzenie, propagował bezwyznaniowość". Srali muchy, będzie wiosna…

Wiktoria i Victoria

W zajęciach na Gackiej Górce brała udział również Wiktoria Niemczak. Była członkinią założonego przez Zofię Solarzową Amatorskiego Zespołu Teatralnego w Markowej, gdzie w jasełkach grała Matkę Boską. We wspomnieniach Solarzowej zachował się zapis, wedle którego młoda Niemczakówna miała zwierzyć się księdzu na spowiedzi z chęci uczestniczenia w kursie uniwersytetu ludowego. „Ojciec duchowny powiedział jej, że czeka ją piekło. On proboszcz nie będzie chciał jej widzieć w kościele. […] Żałosny był widok tej dobrej, dorodnej dziewczyny, tak zmarnowanej przez ludzką tępotę i przez najgłupszy fanatyzm" – pisała.

Prawdopodobnie podczas kursów Wiktoria poznała 12 lat starszego od niej Stanisława Ulmę, za którego wyszła za mąż w 1935 r. W 1944 r. Ulmowie wraz z szóstką dzieci zginęli rozstrzelani za ukrywanie żydowskiej rodziny. 10 września 2023 r. w Markowej zostaną beatyfikowani. Hlond i reszta spróchniałych sukienkowych muszą się przewracać w grobie.

Katolicki marksizm

Czy Solarzowie byli marksistami? Na Boga nieistniejącego, nie! Poprzez próbę podniesienia poziomu społecznej odpowiedzialności i ludzkiej solidarności, pomocy słabszym w zdobyciu swobód obywatelskich wyłuszczyli hipokryzję chrześcijańskich akolitów, którzy piejąc o równości wszystkich ludzi, nie chcieli spuścić z państwowego i kościelnego łańcucha darmowej wiejskiej siły roboczej.

Solarzowie przejawiali idee lewicowe, podejmując się przywrócenia chłopstwa do społeczeństwa w roli współgospodarzy kraju. Wspólnota, którą stworzyli, była rozsadnikiem demokracji, a nie komunizmu, co zaślepiony warcholstwem kler próbował przekuć w marksistowską zarazę.

Dziś po blisko stu latach, od kiedy inżynier Ignacy Solarz podjął się karkołomnego zadania uzdrowienia polskiego społeczeństwa, kiedy każdy przejaw postępu jest obrzygiwany przez Kościół katolicki i władzę hasłami o neomarksizmie, beatyfikację Ulmów, wychowanków „komunistycznego" uniwersytetu z Gackiej Górki, uważam za wyjątkowo zgrabny fikołek historii.

IDALIA DUBICKA

Woźnicki nie daje o sobie zapomnieć. Tym razem podzielił się z wiernymi swoim oburzeniem na temat pomocy osobom chorym: „Co robią państwa socjalne, socjalistyczne? Wykradają ludzi chorych Kościołowi. Szpitale dotowane z instytucji państwa, które zawsze mogą sobie na tę działalność na różne sposoby wziąć. Nie czekać na ofiary, tylko wziąć. A jak jest mało, to później wymyślą sobie takiego durnia Owsiaka i jako użyteczny idiota sam coś zarobi, a też się innym ludziom przysłuży na sposób, że będą mówić, iż z Owsiakowych pieniędzy jest jakiś respirator czy coś takiego". I dalej: „Z ilości takich osób żył i rósł Kościół. I tego dzisiaj nie ma ze względu na przekupstwo państw socjalnych, złodziejstwo państw socjalnych i diabelskość państw socjalnych". Czyli oddajcie wszystkie szpitale Kościołowi. Kabaret.

✚ Co siódmy chrześcijanin na świecie jest prześladowany, a szykany i często otwarta przemoc wobec nich stale rośnie. Wśród aktów prześladowań oprócz morderstw i przemocy fizycznej notuje się również wypędzanie, plądrowanie domów czy kościołów, a także grabieże – biją na alarm katolickie i prawicowe portale, powielając statystyki publikowane przez międzynarodową agencję Open Doors. Sugerują przy okazji, że te statystyki dotyczą także Polski (a nie głównie państw afrykańskich, gdzie króluje islam). No nie do końca jest to prawda. Jeśli już, to można by sporządzić raport o Polakach prześladowanych przez Kościół kat.

✚ Ale co tam zdrowy rozsądek. W Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu (czyli szkole ojca dyrektora Rydzyka) odbyła się konferencja „Wolność religijna we współczesnym świecie: przeciwdziałanie przyczynom dyskryminacji i pomoc prześladowanym". Referaty wygłosili m.in. prof. Piotr Wawrzyk, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, i Marcin Romanowski, podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości. „Ostatnie lata pokazały, że także w Polsce są środowiska, które nie wahają się użyć przemocy fizycznej wobec katolików" – mówił min. Wawrzyk. Natomiast wiceminister Romanowski wspominał, że jest realna szansa, by zatrzymać prześladowania chrześcijan w Polsce m.in. za pomocą zmian w prawie, czyli wprowadzenia ustawy o ochronie praw chrześcijan. To jest kuriozalne i jednocześnie budzące grozę.

✚ Aby nie kończyć „Wieści z kruchty" w taki ponury sposób. Pełnomocnik częstochowskiej kurii ks. dr Mariusz Bakalarz doniósł do Prokuratury Rejonowej w Myszkowie, że zbuntowany przeciwko biskupowi ksiądz ukrywa księży pedofilów. Chodzi o ks. Daniela Galusa z pustelni w Czatachowie niedaleko Częstochowy. Wojenka pomiędzy ks. Galusem a biskupem Wacławem Depo trwa już jakiś czas. Wcześniej to ks. Galus oskarżał biskupa o krycie księży pedofilów i mobbing. Monachomachia pełną parą.

KLECHA

Rysunki WIDGET

eprasa.pl d2be744010

Hej, kto kołtun, na gromnice

Kilka uwag o przaśnej polskości.

Demokracja to najgorsza forma rządów, ale lepszej nie wymyślono, zatem przestańmy zachwalać jej zalety, a skoncentrujmy się na wadach. Po pierwsze, wymyślili ją Grecy, a niczemu, co wymyślili Grecy, ufać nie wolno.

Nie mamy dowodów na to, że sondaże są zakłamane, zatem trzeba wierzyć, że 38 proc. Polaków nadal chce głosować na autorytarny PiS po ośmiu latach jego rządów. To by oznaczało, że za cztery lata będzie on najdłużej rządzącą nieprzerwanie formacją od czasów Augusta III Sasa. Nawet w komunie nie było ekipy, która tak długo utrzymywała się przy władzy.

Demokracja, czyli władza ludu, co w obecnych czasach praktycznie nic nie znaczy, wymaga pospolitych parametrów intelektualnych, dalekich od polskiej mentalności.

Po pierwsze wolność

Jest to termin szeroki i to, czego Polacy nie lubią, ponieważ większość populacji nigdy nie była ludźmi wolnymi. W sensie ekonomicznym, który wypełnia nasze życie, bo musimy na nie zarabiać, człowiekiem wolnym są zamożniejsi przedsiębiorcy, a ongiś szlachta, stanowiący 3 do 5 proc. ogółu. 95 proc. z nas, Słowian (Słowianin znaczy niewolnik), to niewolnicy.

Niewolnictwo i poddaństwo mają mnóstwo zalet w przeciwieństwie do wolności, która ma same wady. Niewolnik nie jest za siebie odpowiedzialny. Niewolnik zwolniony jest z myślenia. Niewolnik ma kogo obciążyć przyczynami swoich niepowodzeń. Niewolnik ma pełne prawo być z życia niezadowolony, bo jest przecież pozbawiony wolności. Niewolnik nie jest w stanie niczego zaplanować, ponieważ to potężne siły natury, nad którymi nie panuje, oraz możnowładcy powodują jego życiem. Niewolnik żyje w miarę bezpiecznie, na ile władza mu daje i pozwala. Zaproponujcie ludziom, aby wzięli sprawy w swoje ręce. Zerwali kajdany i porzucili robotę na posadkach w jakimś państwowym kołchozie (banku, poczcie, szkole). Powiedzą wam, że zwariowaliście. PiS idzie w tych przyjemnościach Polakom na rękę, rozszerzając zakres niewolnictwa. Uzależnia od wielkiego feudalnego pana, jakim jest państwo. Im więcej ludzi na państwowym garnuszku, tym lepiej. Obecnie z państwa żyje już ponad 50 proc. populacji.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Po drugie wolność słowa

Zasadniczo Polak jest wkurwiony, jak ktoś ma odmienne zdanie. Z mizerii intelektualnej sprzeczność nie wzbudza w nim potrzeby polemiki, tylko agresję. „Za opowiadanie tych głupot zabiłbym skurwysyna" – jakże często słyszymy. Wolność słowa i pluralizm poglądów są złe. Katolik nie kupuje naszej gazety. Woli 15 razy nudniejszego „Gościa Niedzielnego" dlatego, że nie chce przecież przeczytać, że Pan Bóg nie istnieje. Taka informacja zniszczyłaby mu korę mózgową i doprowadziła do arytmii serca.

Polacy katolicy, których jest 95 proc., zresztą jak i pozostali, oczekują od mediów potwierdzenia własnych poglądów. Nie jest to specjalnie odkrywcze, gdy nawet niezależne komunikatory kierują się paradygmatem: mówimy (piszemy) to, co ludzie chcą usłyszeć.

Wolność mediów to chaos poznawczy, dylematy, rozchwianie intelektualne, którego Polak nie lubi.

PiS chroni społeczeństwo przed grzechem spożywania „z drzewa poznania dobrego i złego" w elegancki sposób. Nie zamyka mordy dziennikarzom niewygodnym. Nie wsadza do więzień. Obficie dotuje państwowymi pieniędzmi słuszną linię informacyjną, podczas gdy ta niesłuszna zdycha naturalnie z przyczyn czysto rynkowych.

Po trzecie praca

Prawo do pracy to przekleństwo. Wystarczy iść do dowolnego urzędu. Jacy oni są tam zawsze zmęczeni. Praca Polaka hańbi. Widzieliście te podpisy pod zdjęciami profilowymi na Facebooku: „Szlachta nie pracuje". To oznacza zazwyczaj bezrobotnego. W narastającej epidemii zaburzeń psychicznych mnożą się schizofrenicy, wariaci z syndromem eksplodującej głowy oraz nie swojej ręki, ale do lekarza w Polsce nie zgłosił się nigdy żaden pracoholik. Ambicją młodego człowieka jest przejść na rentę albo emeryturę. Najlepszym dniem w tygodniu jest piątek po południu. Najgorszym poniedziałkowy poranek. I PiS robi nam wszystkim dobrze. Już nie ma miesiąca bez długiego weekendu lub choćby wolnego od pracy dnia świętej Kunegundy. Święta bożonarodzeniowe trwają trzy tygodnie. Emerytury są o dwa lata dłuższe. Natomiast mnożenie przepisów w każdym zakresie skutecznie usprawiedliwia każdą bezczynność, której czynność wykraczałaby poza zakres zwykłych obowiązków.

Po czwarte równouprawnienie kobiet

To też nie jest dla Polaka właściwe. Polak zasadniczo nie lubi kobiet. Kobiety wprowadzają chaos, gdziekolwiek się pojawią. Te ich dziwaczne żądania tego i tamtego to tak naprawdę mydlenie oczu w sytuacji, kiedy najchętniej siedziałyby w domu „przy mężu". GUS nie kłamie! Ponad 40 proc. niewiast w wieku produkcyjnym nie pracuje. Co więcej, Polki, które też należy traktować jak Polaków, nie lubią samych siebie. Malkontenctwo dotyka 100 proc. polskich kobiet w tych „trudnych dniach", a w pozostałych jakieś powody do niezadowolenia z samej siebie deklaruje 45 do 60 proc. ankietowanych: mąż jest zły, samotność jest zła, dzieci są złe, brak potomstwa jest zły, praca jest zła, bezczynność jest nieprzyjemna, a liczba par butów nigdy niesatysfakcjonująca. PiS robi wiele, aby pozbyć się kobiet z życia publicznego. Postawić je na właściwym miejscu. Wyjaśnijmy: owe 500 plus nie jest dla dzieci. One nawet o tym programie nie wiedzą. Praktycznie bowiem zarządzają tymi pieniędzmi matki, czyli kobiety. One odnoszą psychiczne korzyści. One mogą pozostawać w domach. Niech więc rodzą choćby małpy, a nie występują w wodewilu. Kobieta decydująca o samej sobie jest nie do zniesienia, bo ona nigdy nie potrafi się zdecydować.

Rys. TOMASZ WIATER

Po piąte cierpienie

Prawo do zabiegania o własne szczęście, wpisywane w konstytucje większości demokratycznych społeczeństw, jest Polakowi zupełnie niepotrzebne. On uwielbia katastrofy: okradli sąsiada, kolega ma raka, Heniek wybił kochance zęby, policjant spowodował wypadek, sędzia wziął łapówkę – to są standardowe tematy rozmów telefonicznych dnia codziennego większości z nas. Z przykazania „we wszystkim naśladujcie Chrystusa" Polacy ze „wszystkiego" wybrali sobie cierpienie – jesteśmy wszak Chrystusem narodów. Klęski, katastrofy i porażki lubimy najbardziej. I PiS Polakom dostarcza tego żarcia w ilościach nie do przejedzenia. Od miesięcznicy do miesięcznicy, od Witolda Pileckiego do Maksymiliana Kolbego. Instytut pamięci wszelakich zbrodni napędzany setkami milionów złotych pracuje pełną parą, aby bestialstwa przeciw narodowi przypomnieć. W filmy, pogadanki, spektakle, wystawy i akademie przekuć.

Po szóste pokojowe współistnienie

To jest dla Polaka nonsens. Nigdy tego nie praktykowaliśmy. My się na tym nie znamy. Nawet czas komuny, najdłuższego w historii okresu pokoju, tak naprawdę był stanem zimnej wojny. Wojny z wrogiem wewnętrznym oraz psychicznych zmagań z wiadomo kim. Uwielbiamy żyć w warunkach ciągłego zagrożenia. PiS nie musiał się tu akurat tak bardzo starać, jak się starał. Czasy mu wyjątkowo sprzyjają. Nie jesteśmy poróżnieni tylko na granicy z Morzem Bałtyckim.

Siłą narodu jest armia, co jakby nie przystawało do niedawna do wyobrażeń demokratycznych plemion. Będziemy mieli największą i zbrojną po zęby, a co najważniejsze, jest to uzasadnione. Putin pomógł, zresztą nie jest to jedyny aspekt polityki, w którym dogodził Kaczyńskiemu.

Po siódme cnota umiarkowania i skromności

To nie jest zupełnie dla nas. Nasza megalomania by tego nie wytrzymała. Jesteśmy stworzeni do rzeczy wielkopolskich. Tutaj PiS strzela z najcięższych dział. Jak maseczki z Chin, to przywozi nam największy samolot na świecie, chociaż cała flota narodowego LOT-u uziemiona jest przez covid. Jak lotnisko, to największe w Europie. Jak fabryka samochodów, to większa od Mercedesa. Nasz Orlen musi być największy od Wyszehradu na południu po Sieniawkę na zachodzie i Możejki na północy. Nieważne, że z gigantomanii nic nie wychodzi, ale powiedzieć, że się coś robi, to tak samo, jakby zrobić.

Po ósme równość

No to jest oczywiście śmieszne. Nie możemy lubić czegoś, co w przyrodzie nie występuje. Natura z natury jest oligarchiczna. Wpisywanie do ustaw nierealistycznych postulatów o równości ludzi to absurd. Kim innym jest prezes spółki skarbu państwa, a kim innym ochroniarz pilnujący mu samochodu. Polacy to doskonale wiedzą, bo są narodem mądrym dwóch stanów – chłopskiego i szlacheckiego. Większość jest już obecnie zeszlachcona, ale brak chłopstwa oznaczałby, że nie jestem lepszy od kogoś innego. Bycie równym oznaczałoby bycie gorszym. Niedopuszczalna herezja. Nie ukrywajmy: nasza szczodrobliwość wobec Ukraińców ma również egoistyczne motywy. Wreszcie pojawili się w dużych ilościach ci, wobec których czuć się możemy lepsi, ponieważ oni są gorsi. Spin doktorzy z PiS-u doskonale eksploatują ów prawdziwie polski proces duchowy.

Po dziewiąte swobodny przepływ ludzi i kapitału

Nie, no nie. Staraliśmy się jak inni biali. Co z tego wyszło? Dzięki temu prawu jesteśmy największą mniejszością narodową w Norwegii, Islandii, Irlandii, Holandii, Niemczech, Litwie i Białorusi. Drugą w Anglii. I co? Norwedzy traktują nas gorzej niż psy. Anglicy zatrudniają na zmywakach. Holendrzy przy mordowaniu zwierząt, a Niemcy nawet już sobie samochodów nie pozwalają kraść. To nie jest dla nas!

Bo widzicie, samochód to doskonały wynalazek, ale jeżeli posadzimy za kółkiem Indianina z brazylijskiej dżungli, to się zabije. Będzie nieszczęście. On nie polubi samochodu. Podobnie demokracja nie jest dla nas z tymi jej wynalazkami. Nie dorośliśmy albo powinniśmy iść własną drogą.

A dlaczego? Dlatego, że

wszyscy z naszego królewskiego piastowego szczepu: czerwoni, pomarańczowi, czarni czy zieloni – skażeni jesteśmy katomyśleniem. Nawet jak chcemy się od tego odciąć, nie da rady. To jest trauma zbiorowa pionowo przekazywana z pokolenia na pokolenie i poziomo z miasta do miasta, jak daleko słychać polską mowę.

Wszystkie wyżej opisane antywartości demokratyczne zawdzięczamy tak zwanej nauce Kościoła. Czerpiemy z najbardziej uwsteczniającej, totalitarnej i w gruncie rzeczy antyhumanistycznej instytucji, władającej naszymi umysłami tak przez nią buńczucznie zwanym Słowem Bożym od stuleci.

Jakie skutki przynosi takie schlebianie przez PiS polskiej przaśności? Niewola to zdławiona kreatywność, brak perspektyw, nuda, regres techniczny, niskie standardy ochrony zdrowia i życia, a w końcu demoralizacja i bałagan. Choroby, które zawsze dotykały naszego społeczeństwa bardziej lub mniej.

Co gorsza, opozycja to w gruncie rzeczy to samo polskie kołtuństwo, tylko inaczej opakowane, niż sprzedaje je PiS.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl d2be744010

PiS grzebie w ziemi

I ty zostań Panem Samochodzikiem.

Tym razem padło na archeologię i ochronę zabytków, dyscypliny mroczne, tajemnicze, o których mało kto ma jakiekolwiek pojęcie, więc nikt poza fachowcami sprawą się nie interesuje. A tymczasem sejm uchwalił nowelizację ustawy o ochronie zabytków, która od tej pory będzie umożliwiała dokonywanie prawdziwych spustoszeń w ochronie narodowego bądź co bądź dziedzictwa, którą państwo powinno sprawować. Ustawa czeka już na podpis prezydenta, trudno jednak przypuszczać, by pisowski długopis akurat teraz przestał pisać.

Do tej pory było tak, że jeżeli ktoś chciał szukać w ziemi historycznych przedmiotów, musiał uzyskać na to zgodę konserwatora zabytków. Jeszcze do niedawna zresztą nikt o zdrowych zmysłach nie jeździł po Polsce, by ją rozdłubywać w celu wykopania jakiegoś zardzewiałego żelastwa z przeszłości, potłuczonych garnków lub choćby ludzkich kości z przedwiecznych cmentarzysk. Zajmowali się tym tylko archeolodzy. Od jakiegoś czasu jednak modne stało się wszelkiego rodzaju poszukiwanie skarbów przez amatorów przygód.

Naczytali się jeden z drugim „Pana Samochodzika", względnie naoglądali się filmów o nim, o przygodach Indiany Jonesa lub jego egipskiego odpowiednika Zahiego Hawassa. I sami wzięli się za szukanie ukrytych w ziemi pozostałości z przeszłości, licząc zapewne – a jakże – na odkrycie wielkich skarbów. Ta grupa, idąca już dziś w Polsce w dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy osób, w niektórych regionach kraju staje się – jak twierdzą naukowcy – wręcz plagą (np. w województwie kujawsko-pomorskim). Poszukiwacze idą po linii najmniejszego oporu: nie dokonują odkryć metodycznie, zgodnie ze sztuką, tylko zazwyczaj przy pomocy detektorów metali, dlatego przez naukowców i służby konserwatorskie zwani są detektorystami.

Detektorysta nie przeprowadzi eksploracji fachowo, tylko rozdłubie ziemię tam, gdzie mu pokaże detektor, zabierze, co znajdzie, i odjedzie w siną dal. Nie zdaje sobie sprawy, że w ten sposób może zniszczyć bezpowrotnie stanowisko archeologiczne.

Dotychczasowe przepisy wymagające zezwoleń na prowadzenie tego typu poszukiwań ograniczały samowolę poszukiwaczy skarbów, a także zmuszały ich do współpracy ze służbami konserwatorskimi i archeologami, zmniejszając przy tym ich archeologiczno-historyczną ignorancję. Bywało, że wynikały z tego dobre rzeczy.

Wykop sobie zabytek

Nowelizacja ustawy, którą kilka dni temu klepnął sejm mimo sprzeciwu senatu, znosi obowiązek uzyskiwania zezwoleń konserwatorskich na poszukiwania. Od przyszłego sezonu każdy domorosły Pan Samochodzik będzie mógł, uzyskawszy zgodę właściciela terenu, dłubać w ziemi na dobrą sprawę gdzie popadnie, zgłaszając ten fakt jedynie w internetowej aplikacji, której powstanie przewiduje ustawa. Byle robił to w odległości większej niż 10 m od obiektu zabytkowego lub stanowiska archeologicznego. Rozumiecie? Kompletny ignorant kupi sobie detektor metalu, pojedzie w Polskę i będzie mógł grzebać w ziemi właściwie do woli i bezkarnie. W dodatku według tej nowelizacji możliwe będzie prowadzenie poszukiwań dosłownie pod nosem pracujących na stanowisku archeologów, byle 10 m od nich. To nic, że błąd systemu GPS, na którym będzie musiała pracować zapowiadana przez ustawę aplikacja, wynosi 20 m. Więc na dobrą sprawę będzie można niemal wleźć archeologom do wykopu i w razie czego tłumaczyć się, że to błąd GPS-u.

Dla każdego, kto kiedykolwiek zetknął się z wykopaliskami archeologicznymi i ma o nich jakiekolwiek pojęcie, to sytuacja jak z horroru. Stanowisko archeologiczne jest bowiem pojęciem dość mało precyzyjnym i na dobrą sprawę nie wiadomo, gdzie się ono kończy. W toku prac stanowisko może znacznie zmieniać swój obszar, zazwyczaj się powiększając. Czyli obszar stanowiska archeologicznego dziś nie musi być równy temu obszarowi za kilka lat. Na tym właśnie polega m.in. archeologia, że w ciągu prac trwających niekiedy całe lata, a nawet dziesięciolecia ustala się powoli obszar danego stanowiska. Jeżeli wejdą w to amatorzy, to dziś mogą bezpowrotnie zniszczyć te obszary, które archeolodzy zbadają dopiero w ciągu następnych sezonów wykopaliskowych. „Zasięg stanowisk archeologicznych jest zawsze przybliżony, wobec tego detektoryści będą mieli możliwość wybierania z ziemi zabytków, które są zlokalizowane na ich domniemanych obrzeżach. W rzeczywistości może to być jednak centralna partia stanowiska archeologicznego" – mówi dr hab. Marcin Danielewski, profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu w wywiadzie udzielonym portalowi Dziennik Historyczny.

Polska paserem Europy

Nowelizacja nakłada co prawda pewne obostrzenia, ale takie, że średnio rozgarnięte dziecko poradzi sobie z ich obejściem. Nakłada otóż obowiązek wstrzymania poszukiwań i poinformowania służb konserwatorskich, jeżeli na obszarze do 100 mkw. znajdzie się minimum trzy przedmioty, co do których może być podejrzenie, że są zabytkami archeologicznymi. No i fajnie, tylko kto to sprawdzi? A znajdujący zawsze będzie mógł powiedzieć, że natrafił tylko na dwa przedmioty, a nie trzy.

No właśnie: kto w ogóle będzie kontrolował, czy zgłoszone poszukiwania zakończyły się znalezieniem czegoś, czy nie? Jak zgodnie wskazują naukowcy, nowa ustawa stworzy znakomite warunki do wywozu ruchomych zabytków z Polski. Przecież każdy poszukiwacz skarbów z Unii Europejskiej będzie mógł wjechać samochodem do Polski, wykopać, co mu się uda znaleźć, i wyjechać za granicę, wywożąc przedmioty o często niebagatelnej wartości kolekcjonerskiej. Kto to skontroluje przy braku granic?

Nie dość tego, bo szybko może się okazać, że państwo polskie stanie się niejako paserem prowadzącym proceder legalizacji zabytków nielegalnie wydobytych w innych krajach. Prof. Danielewski wskazuje, że problem ten wykracza zresztą poza Unię Europejską, bo już teraz mamy do czynienia z masowym handlem zabytkami wywiezionymi z Ukrainy. Po wejściu w życie nowelizacji może być tylko gorzej. „Nagle na ziemiach polskich detektoryści zaczną odkrywać wazy greckie z Krymu, monety z rzymskiego Chersonezu czy wczesnośredniowieczne uzbrojenie Chazarów (wszystkie zabytki z rejonu Ukrainy)" – mówi prof. Danielewski Dziennikowi Historycznemu.

W sytuacji, kiedy każdy będzie mógł wjechać na obszar całkowitej wolnej amerykanki archeologicznej i zalegalizować tu np. przywiezione z zagranicy znaleziska, obraz przeszłości ziem polskich zostanie szybko zafałszowany. Marcin Danielewski jest zdania, że wystarczy dekada, by to zrobić. Już po 10 latach ten obraz nie będzie w żadnym stopniu odpowiadał minionej rzeczywistości.

Bardzo interesującym aspektem wprowadzanej nowelizacji jest też system nagród, jaki ustawa przewiduje dla tych, którzy wydłubią z ziemi przedmioty o szczególnej wartości. Jej autorzy chcą, by szczęśliwego znalazcę takiego przedwiecznego skarbu nagradzać albo dyplomem (jeżeli wydłubany skarb będzie mniejszej wartości), albo finansowo (przy skarbach o relatywnie większej wartości). W szczególnych przypadkach nagroda może przekraczać nawet 200 tys. zł (30-krotność przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w gospodarce krajowej). To nic innego jak zachęta do tego, by coraz więcej dłubaczy ruszyło w teren rozkopywać Polskę. To także zachęta, by zabytki nielegalnie pozyskane w innych krajach wwieźć do Polski i tu zalegalizować, uzyskując za nie sowite wynagrodzenie i jednocześnie pozbywając się kłopotu ze sprzedażą trefnego przedmiotu.

Kiełbaska wyborcza

Absurdy związane z tą ustawą można mnożyć. W gruncie rzeczy

ustawa dla ochrony zabytków jest tym, czym dla ochrony zdrowia byłaby ustawa zezwalająca na leczenie ludzi każdemu, kto kupi sobie stetoskop i zgłosi ten fakt za pomocą aplikacji.

Protestuje przeciwko niej zgodnie całe środowisko naukowe związane z naukami historycznymi i ochroną zabytków w Polsce, ale nie tylko. Głos w jej sprawie zabrało nawet Europejskie Stowarzyszenie Archeologów (European Association of Archaeologists – EAA), oczywiście krytykując ją. Nie zburzyło to jednak dobrego samopoczucia autorów ustawy, którzy i tak ją przegłosowali. I tu dochodzimy do sedna: dlaczego? Dlaczego grupa posłów (był to poselski projekt ustawy) zdecydowała się wprowadzić do polskiego prawa absurdalne rozwiązania mogące wyrządzić polskiej nauce olbrzymie szkody?

Projekt nowelizacji firmowała grupa 32 posłów, z których trzej to kukizowcy (z samym Pawłem K. na czele), a pozostali to obecna narodowa siła przewodnia, czyli PiS, i jeden od Republikanów Adama Bielana. Przy czym trzeba zaznaczyć, że poza nikomu nieznanymi posłami jest wśród nich myślicielska śmietanka PiS, czyli posłowie Marek Suski, Ryszard Terlecki i Marek Kuchciński.

Tylko dwóch z tych posłów ma wykształcenie historyczne, więc o sprawie mogą mieć względne pojęcie.

Generalnie jednak całe towarzystwo ma o archeologii i ochronie zabytków zapewne takie wyobrażenie jak trzoda chlewna o fizyce kwantowej. Co sprawiło, że z taką determinacją, zyskując poparcie sejmowej większości, przepchnęli tę nowelizację przez sejm, olewając przy tym sprzeciw senatu? I na to pytanie nie ma innej odpowiedzi jak nadchodzące wybory.

Wśród protestujących przeciwko ustawie naukowców nie brak było głosów, że zostali oni dopuszczeni tylko do wstępnych rozmów nad przygotowaniem nowelizacji, a gdy zaczęli wyrażać wątpliwości i oznaki sprzeciwu, dalsze prace odbywały się już bez nich, za to przy intensywnym udziale osób reprezentujących środowiska detektorystów. Jakieś grupy musiały więc za tą nowelizacją ostro u pisiorów lobbować.

Nasuwa się wniosek: PiS wyczaił, że detektoryści to dość liczna grupa, której głosy można zagospodarować. Nikt nie wie, ilu ich jest. Oni sami szacują swoją liczebność nawet na 200 tys. osób. Naukowcy twierdzą, że jest ich ok. 30 tys. Biorąc pod uwagę ewentualne niedoszacowania i przeszacowania, przypuśćmy, że jest ich ok. 100 tys. Czyż można pogardzić taką liczbą głosów wyborczych? Więc co szkodzi zrobić tym stu tysiącom laskę z pełnym połykiem? Szczególnie jeżeli robi się to szybko, sprawnie i niemal bezgłośnie. Wygląda na to, że to właśnie PiS (z udziałem akolitów) uczynił.

EDYTA BAKER

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

W czasach licealnych i studenckich przez kilka lat uczestniczyłam w profesjonalnych pracach archeologicznych w różnych regionach kraju. Wśród przedmiotów wykładanych na studiach historycznych miałam też archeologię zakończoną pisemną pracą roczną. Mogę powiedzieć, że o archeologii mam jakieś pojęcie. Tak, mam, ale właśnie to, że je mam, sprawia, że nigdy nie zabrałabym się za amatorskie poszukiwania. Wiem bowiem, jaką szkodę mogę wyrządzić nauce, jeżeli akurat wyobrażenie o swoich umiejętnościach w tym względzie bym przeceniła. I nie biorę się za to, choć archeologią i ochroną zabytków interesuję się do dziś. Jeżeli kiedykolwiek w życiu miałabym wrócić na stanowisko archeologiczne, to tylko pod warunkiem, że będzie ono prowadzone przez profesjonalistę.

Z minionych lat spędzonych na stanowiskach archeologicznych pamiętam jednak wizyty różnych miejscowych hobbystów i domorosłych archeologów, którzy nie tylko dopytywali o to, co my tu kopiemy, ale też chwalili się swoimi osiągnięciami na tym polu. Nie brakowało ich już wtedy, w latach 80. i 90. Opowiadali o swoich wyprawach w okolice, podczas których potrafili dłubać w ziemi i nawet znajdować to i owo. To, co zapamiętałam o tych ludziach, to ich brak jakiejkolwiek wiedzy historycznej, posługiwanie się mitami oraz kompletną ignorancję dla archeologii i jej warsztatu. Jeżeli współcześni detektoryści są spadkobiercami tamtych hobbystów, to po wejściu w życie tej ustawy wróżę polskiej archeologii jak najgorzej.

EB

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl d2be744010

Jaśniepany i chamy

Pańszczyzna-drożyzna-pisizna.

„Szlachta z Wrocławia” – taki napis na koszulkach stadionowych bandytów swego czasu można było zobaczyć na ulicach miast, gdzie grali piłkarze Śląska. Oczywiście łyse głowy, niskie czoła i dresy nie sugerowały wysokiego urodzenia, lecz te pretensje do szlachectwa w Polsce nie ograniczają się bynajmniej do kiboli.

Właśnie wydana książka Adama Leszczyńskiego „Obrońcy pańszczyzny” pokazuje, że większość rodzimych ziemiańskich elit, czyli darmozjadów żyjących z pracy innych, nawet w połowie XIX w. sprzeciwiała się zniesieniu poddaństwa.

Autor wykonał kawał dobrej roboty, lecz zamiast skupiać się na historii jako takiej, warto spojrzeć na „Obrońców pańszczyzny” jako na analizę konserwatywnego systemu myślenia o Polsce i świecie, który – niestety! – ma się jeszcze dziś całkiem dobrze, służąc tym na górze do kontroli tych na dole. A patrząc na rosnące słupki Konfederacji, ma on przed sobą świetlaną przyszłość.

Bo Bóg tak chce

Jeśli jakiś ład jest skrajnie asymetryczny, gdzie jedni – zwykle nieliczni – są na górze, a drudzy – przeważnie liczniejsi – na dole, trzeba znaleźć jakieś solidne usprawiedliwienie takiego stanu rzeczy. Przez wieki pod wszelkimi szerokościami geograficznymi – od niewolnictwa w Ameryce po system kastowy w Indiach – robiono to w sposób banalnie prosty.

Uzasadnieniem poddaństwa było przeświadczenie, że jest to zgodne z wyrokami bożymi. I naturalne, jak następowanie po sobie pór roku.

Pojawia tu się też ważny argument: dziś jest tak, jak było zawsze, i nie ma powodu, aby to zmieniać. Dawność jest utożsamiana z dobrem. Czymś oczywistym. Niewzruszonym.

Weźmy takiego Konstantego Słotwińskiego, konspiratora z pierwszej połowy XIX stulecia, który w więzieniu (siedział za wydawanie broszur patriotycznych) doznał objawienia religijnego. Przez lata szlachta sięgała do jego „Katechizmu poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem rządu, dworu i samych siebie”. Jak pisze Leszczyński: „Adresowany do ludu »Katechizm« ułożony jest w postaci pytań i odpowiedzi, a napisany prostym, jasnym językiem. Każdy rozdział rozpoczyna się cytatem biblijnym, najczęściej o cnocie posłuszeństwa. Pańszczyzna […] jest czymś naturalnym i koniecznym”.

A skoro Bóg tak chce, to jedyne, co można zrobić, to poddać się jego woli. Co mi przypomina – nie bez powodu – Biblię, a konkretnie Ewangelię św. Łukasza, w której Maryja reaguje na odwiedziny anioła słowami: „Oto Ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według twego słowa!”.

I jest oczywiste, że uzasadnienie poddaństwa chłopstwa kiedyś jest analogiczne do motywacji stojących za poddaństwem kobiet dziś – obie te grupy, zdaniem konserwatystów i Kościoła, nie mają prawa do dysponowania własnymi ciałami.

Klechy non stop pierdolą o „prawie naturalnym”, które nakazuje to czy tamto określonym ludziom, szczególnie kobietom.

Przypomnijmy niesławne słowa Przemysława Czarnka, wygłoszone jeszcze wtedy, gdy był wojewodą lubelskim: „Idź i pracuj, jeździj na traktorze, na kombajnie, ucz się, rób karierę. Kariera w pierwszej kolejności, a później może dziecko. Prowadzi to do tragicznych konsekwencji. Pierwsze dziecko rodzi się nie w wieku 20–25 lat, tylko w wieku 30 lat. Jak się pierwsze dziecko rodzi w wieku 30 lat, to ile tych dzieci można urodzić? To są konsekwencje tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana”.

To dla waszego dobra

Czytając „Obrońców pańszczyzny”, nie mogę pozbyć się wrażenia, że jednym z kluczowych uzasadnień chłopskiego niewolnictwa był argument, że koniec końców poddaństwo służy wszystkim, całemu organizmowi społecznemu: nie tylko panom (co jasne), ale również (co wymaga pokrętnych wywodów) ludowi.

Likwidacja pańszczyzny miała – biadano – zerwać „ojcowską więź” z dziedzicem. Wiadomo, że pan to był zawsze mężczyzna, wręcz ojciec dla swych włościańskich „dzieci”, które kochał, dlatego też niekiedy – jak zasłużyły – je karcił, ale zawsze czynił to z miłością.

Jak wiadomo, najważniejszym ojcem dla współczesnych Polaków i Polek jest nie ich stary, lecz jedyny oryginalny Ojciec (!) Święty (koniecznie wielkimi literami) Jan Paweł II. Wojtyła był znany ze skłonności do infantylizacji swoich rozmówców i słuchaczy, tych wszystkich opowieści o kremówkach w Wadowicach, łażeniu po górach czy pływaniu kajakami. Jasne było, że traktuje wszystkich wokół z ojcowską pobłażliwością.

Oczywiście dzieci – a dla Kościoła wszyscy są dziećmi bożymi – nie powinny zasmucać ojca, nie denerwować go i robić wszystko, aby wkraść się w jego łaski. „Nie rób tego, bo tatusiowi będzie przykro” – mówią matki maluchom, umacniając, jak by powiedziały feministki, mimowolnie patriarchalizm w najgorszej postaci.

Zastanawiające, że wielu autorów przytaczanych przez Leszczyńskiego mówiło: „jestem za zniesieniem pańszczyzny, ale…”, przy czym z owym „ale” zawsze wiązała się długa lista warunków niemożliwych do spełnienia przez dziesięciolecia. Czyli chłopi nie mogą już teraz (a naprawdę nigdy) być wolni, bo „piją na umór”, „nie są oświeceni”, czyli nie są na to gotowi. Wolność dla takich ludzi to jak dać małpie brzytwę – przekonywano.

A jak już wszystko zawodzi i konserwatywny ład się sypie, na pomoc idzie stara śpiewka: wszystko to wina obcych. Kiedyś Zachodu czy Żydów, a teraz znowu Zachodu (ucieleśnianego przez Unię Europejską) i uchodźców muzułmańskich. Gwoli ścisłości jednak na ostatniej konwencji Konfederacji poseł Grzegorz Braun zebrał brawa za hasła typu: „Stop ukrainizacji Polski” czy „Nie będą nas historii uczyć Niemcy i Żydzi”.

Zgnilizna idzie z Zachodu

Tym, co łączy różne kraje Europy Środkowo-Wschodniej, jest przekonanie – liczące setki lat, ale wciąż żywe – że Słowianie to ludzie prostolinijni, szczerzy, uczciwi i dobrzy. I wiedliby spokojne, wręcz sielankowe życie, gdyby nie stanęli na ich drodze przebiegli Żydzi, Francuzi czy Niemcy.

Wobec prądów liberalnych czy demokratycznych polskie ziemiaństwo czuło na równi odrazę i wręcz paniczny lęk. Prezes Jarosław ma długą listę poprzedników – od arystokracji XVIII i XIX w. po Władysława Gomułkę. Wszyscy oni jak ognia bali się idei, które szły do nas z zachodniej Europy czy Ameryki. Były one wielkim zagrożeniem dla naszego małego słowiańskiego raju: pamiętajmy, że to do carycy Katarzyny Wielkiej zwrócili się konfederaci targowiccy, aby bronić „polskiej tradycji” i „wiary ojców”.

Ale jeśli wobec Niemców czy Francuzów można było odczuwać niechęć wynikającą z kompleksów, to inaczej sprawa miała się z Żydami, którym okazywano wyższość i jawną wrogość jako obcym, innym. Żyda „rozpracował” najlepiej ksiądz Sebastian Sierakowski. W broszurze z 1811 r. pisał on: „Najpierwszą wadą pospólstwa naszego jest pijaństwo, które […] jest źródłem wszystkich innych. Pijaństwa źródłem i przyczyną są Żydzi. Osadzenia Żydów jest źle zrozumiany pożytek”.

Tak jak Kaczyński martwił się pasożytami roznoszonymi przez uchodźców bliskowschodnich, tak Sierakowski nazywał wprost żydowskiego karczmarza pijawką.

Chamstwo górą?

Po upadku komuny wielu naiwniaków z grubymi portfelami zapłaciło cwaniakom, którzy wertowali różne stare księgi, aby znaleźć im rzekomo herbowych przodków. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe pałace Gargamela, udrapowane na szlacheckie dworki.

Paweł Kukiz, zanim się nawrócił na PiS, wyśmiewał te niby szlacheckie maniery w piosence Piersi „On nie jest cham”. To opowieść o nowobogackim typie, który „Czyta Chopina, Sienkiewicza gra”, ma dwa sztucery i psa myśliwskiego, „antyczne srebro” i „parę ikon starych”. Z uporem maniaka w tym kawałku powracały słowa: „Nie jestem cham!”.

Na jarmarkach na Wołyniu i Podolu w połowie XIX w. parodiowano z kolei obrońców starego zmurszałego ładu:

„Narodził się zły Antychryst.
Dzisiaj górą plemię Chama,
Na oścież piekielna brama;
Natura wzdryga się sama;
Bez batoga ekonoma,
To Gomora i Sodoma”.

Książka Leszczyńskiego dowodzi, że czasem z zewnątrz narzucane są Polakom dobre rozwiązania (kiedyś – zniesienie pańszczyzny, dziś – liczne normy Brukseli), które służą zwykłym ludziom, a nie elitom. Zapiszcie to sobie i dokładnie zapamiętajcie, bredzący o suwerenności jaśnie panowie Kaczyński, Ziobro i Mentzen…

ZUZANNA JURCZYŃSKA
zuzanna.jurczynska.69@gmail.com

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Co jest większe: „średnie” czy „umiarkowane” – dowiedzieliśmy się dzięki ministrowi wojny z Błaszczaków. Mariusz pojechał do Gdyni na uroczystości „palenia blach” będące symbolicznym początkiem budowy okrętu. Okrętem tym będzie, jak rzekł, pierwsza polska fregata ORP „Wicher” o długości 138 m. Gotowa ma być za pięć lat. Jak pamiętamy, poprzedni okręt dla Polskiej Marynarki, korwetę ORP „Ślązak”, długą na 95 m, budowaliśmy 18 lat. Ponieważ zgodnie z militarną nomenklaturą fregata to „średniej wielkości okręt”, a korweta – „umiarkowanej wielkości okręt”, nie sposób nie zauważyć, że umiarkowane ma 95 m, a średnie aż 138 m. Zatem umiarkowane jest mniejsze od średniego. Nie stosujcie tych terminów wymiennie. Różnica między nimi wynosi jakieś 40 proc.

▮ Dla własnej satysfakcji oraz w imieniu prawa policjanci powiatowi ze Świecia zaryzykowali życie dziewięciorga ludzi. Będąc w pełni świadomi, że wśród pasażerów pojazdu jest sześcioro dzieci, starali się zatrzymać go w miejscowości Osie. Samochód nie stanął. Ruszyli więc w pościg. Wystraszyli kierowcę. Ten stracił panowanie. Auto dachowało. Rannych odwieziono do szpitala w trybie „procedury zdarzenia masowego”. Informację tę jako godną ogólnopolskich mediów podał asp. Damian Ejankowski z Komendy Powiatowej Policji w Świeciu, ponieważ kierowca był pijany. Problem polega na tym, że wszczynając pościg, oprawcy w mundurach nie mogli tego wiedzieć. Narazili dziewięcioro ludzi dlatego, że samochód się nie zatrzymał. Mogło to być preludium policyjnego mordu.

▮ Prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów Tomasz Chróstny zarzuca spółkom Lord i Polskie Sklepy Odzieżowe wprowadzanie klientów w błąd. Inspektorzy ochrony konsumentów wykryli bowiem, że spodnie męskie fasonu Lord, które zgodnie z wszywką w kroczu powinny być uszyte z tkaniny zawierającej 70 proc. wełny i 30 proc. poliestru, w rzeczywistości zawierały 0 proc. wełny! Uszyte były tylko z poliestru i wiskozy. Za szalbierstwo Chróstny nalicza grzywnę w wysokości 10 proc. obrotów obu firm. Ba! To może być więcej niż ich zysk, biorąc pod uwagę zwyczajowe marże na tekstyliach. Ale słusznie! W portkach zrobionych ze zrecyklingowanych butelek PET nie da się długo chodzić. Jaja się gotują.

▮ W Muzeum Pancernym w Kłaninie (powiat pucki) można oglądać jeden z sześciu zachowanych na świecie egzemplarzy czołgu Panzerkampfwagen V Panther, należącego ongiś do 12. Dywizji Pancernej SS „Hitlerjugend”. 45-tonowy pojazd odbudowano z wraku pozyskanego ze złomowiska. Na razie nie jeździ, ale ma zacząć. Jest się czym ekscytować. Panthery były naprawdę przystojne. Należały do naszych wrogów, którzy są obecnie przyjaciółmi w przeciwieństwie do chłoporobotniczych T-34, należących do naszych przyjaciół, którzy są obecnie naszymi wrogami.

▮ Policjanci Centralnego Biura Śledczego Policji z funkcjonariuszami Krajowej Administracji Skarbowej rozbili grupę, która produkowała leki na potencję w Białymstoku. Zatrzymano cztery osoby. Przejęto 800 tys. sztuk tabletek wartych 32 mln zł. Tabletki działały, ponieważ zawierały tę samą co Viagra substancję czynną. Były tańsze, bo pirackie. Za nielegalność prokurator chce dla każdego farmaceuty amatora 12 lat więzienia. Kuśka może staje, ale ręce i nogi się uginają.

▮ Kępińska policja zatrzymała do kontroli wójta Łęki Opatowskiej i przewodniczącego rady miasta Kępno, którzy byli pijani, choć prowadzili samochody. Każdy swój. Samorządowcy wracali z uroczystości dożynkowych, co jest poważną okolicznością łagodzącą, która powinna zmiękczyć serce sądu, skoro nie zmiękczyła narządów rodzimych stróżów prawa i porządku publicznego.

▮ Włocławek utrzymywał przez trzy lata system płatnych rowerów miejskich zwanych włowerami. Było to 220 pojazdów w 42 stacjach rowerowych. Analiza kosztowa wykazała, że system pochłonął 3,5 mln zł. 1,2 mln rocznie. Szacuje się, że wynajęty operator systemu zarobił na opłatach od wypożyczających 800 tys. rocznie. Roczne utrzymanie jednego roweru miejskiego, który przecież nie zużywa paliwa, kosztowało zatem społeczność Włocławka (bez kosztów zakupu) 4,5 tys. zł. Większość normalnych kierowców nie wydaje zapewne rocznie tyle na paliwo. Władze miasta zlikwidowały chore przedsięwzięcie. Uznały, że taniej i efektywniej będzie dofinansować mieszkańcom zakup prywatnych rowerów, przeznaczając na to 200 tys. zł w sumie. Regionalna izba obrachunkowa zakwestionowała uchwałę o dotowaniu prywatnych rowerów jako niezgodną z prawem samorządowym. Głupiej uchwały o systemie roweru miejskiego sprzed czterech lat RIO nie zakwestionowała, bo była zgodna z prawem.

▮ Policjanci z komendy powiatowej w Lubinie poszukują zorganizowanej grupy przestępczej, która obsesyjnie kradnie z miejscowych cmentarzy kompletne nagrobki. Było ich kilkadziesiąt. Nie ma żadnego. Obrzydliwe. Spoczywać pod czyjąś płytą napisową z nie swoim nazwiskiem to jak chodzić w niepranych cudzych skarpetkach. Zbiera się na wymioty.

RJ

PS Informacje pochodzą z mediów prowincjonalnych. Nie jesteśmy pewni ich prawdziwości w stopniu pozwalającym wziąć za nie odpowiedzialność. Dlatego odżegnujemy się od jakiejkolwiek, gdyby coś tu było nie halo.

eprasa.pl d2be744010

Zatoczyliśmy wielkie cywilizacyjne koło, trafiając ryjem w mierzwę.

Słoma w piździe

Jestem świeżo po lekturze książki „Chłopki. Opowieść o naszych babkach” Joanny Kuciel-Frydryszak. Czy historia wsi, opisana głodem i biedą, mną wstrząsnęła? Nie. Znam z opowiadań tyle podobnych historii, że moje emocje zrogowaciały jak skóra na dłoniach i stopach tytułowych bohaterek. Dla tych, którzy do tej pory załamywali ręce jedynie nad losem uciemiężonych batem na polu bawełny, może to być jednak szok.

To, co mnie w opracowaniu urzekło, to możliwość przekalkowania przedstawionych metod upodlenia „baby” sto lat po tym, gdy te wiejskie popierdalały między polem, oborą a domem, wydalając z macic mioty kolejnych gąb do wyżywienia, których największą zaletą był prędki zgon.

Z pola powstałaś, w gnój się obrócisz

Kuciel-Frydryszak w swojej książce pochyliła się nad losem wiejskich kobiet od narodzin po najczęściej rychłą śmierć, na obszarze najpierw ziem polskich na przełomie XIX i XX w., później II Rzeczpospolitej. Korzystając z opracowań dotyczących wsi (archiwów, ówczesnej prasy) i przytaczając wspomnienia tych, które umiały pisać, wyrysowała obraz gorzkiego jak piołun żywota samicy wiejskiej w hierarchii ustawionej gdzieś hen za żywym inwentarzem, łatwiej zastępowanej i mniej cennej niż krowa czy kura. Dwunożna macica skrzyżowana z popychadłem do obróbki chłopa, obory, pola i bachorów – jak się nietrudno domyślić – lekko nie miała.

I tak wędrując wraz z autorką przez kolejne dziesięciolecia, poznajemy kobiety, które wrodzone w patriarchalną grupę społeczną, niczym psy z eksperymentu Seligmana poddane treningowi bezradności, nie podejmowały nawet próby zmiany swojego losu, ich córki, w których z czasem rósł potencjał kamienia i dzięki uporowi części z nich udało się awansować o szczebel na drabinie społecznej, wreszcie wnuczki bytujące w przebudowanym od dołu do szczytu społeczeństwie.

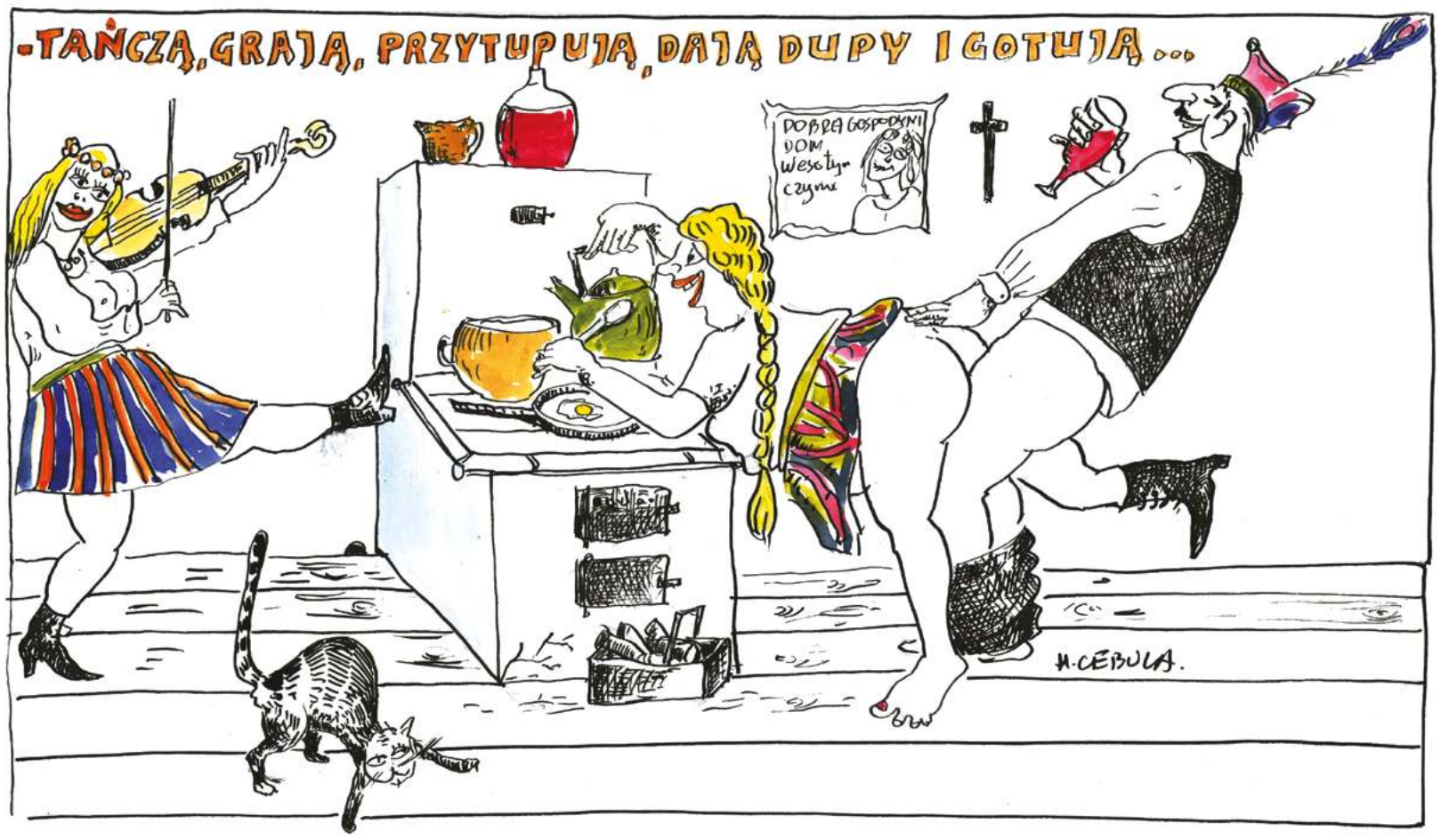

„Wy to miastowe” – wielokrotnie słyszałyśmy z matką od rodziny ojca. Zawsze brzmiało to dla mnie jak przytyk, jakbyśmy były wynaturzonymi francuskimi pudlami z dupami w jedwabiach i kryzach na szyjach.

Istotnie, mój ojciec urodził się i wychował na pięknej wsi. Przekomarzał się czasem, że matka, wychodząc za niego, popełniła mezalians. Wieś nigdy nie kojarzyła mi się z zapyziałym, gównianym zaułkiem, a jej mieszkańców nie postrzegałam jako ludzi gorszej kategorii, bo, kurwa, niby dlaczego bym miała? Powiedzmy zatem, że doświadczyłam odwróconego kulturowego status quo, bo przez stulecia wiocha i wszystko, co z nią związane, napiętnowane było synonimem zaścianka, smrodu, uwstecznienia i – krótko mówiąc – nie napawało dumą.

Chociaż ten czas już szczęśliwie za nami, wgryzając się w historię wsi wcale nie sielskiej mimo zmian kulturowych i wymiany pokoleń, doszukałam się podobnych mechanizmów, które współczesną kobietę mają „ubabić”.

Pizda a sprawa polska

Moja wiejska babcia była oczytaną kobietą. Wraz z dziadkiem mieli czworo dzieci, wszystkie wykształcili. Mojego ojca prawie urodziła w redlinkach (zagon ziemniaków). O ile dziadek chodził do kościoła, „kiedy Bóg w żłobie i grobie”, o tyle babcia klepała pod nosem całą liturgię razem z księdzem. Mimo to, kiedy na początku lat 90. pod jej kościołem pojawili się antyaborcyjni agitatorzy, nie podpisała się pod petycją o zaostrzenie prawa antyskrobankowego. Jako matka czwórki już dorosłych dzieci i babcia sześciorga wnucząt uznała, że nie ma prawa ingerować w decyzje innych kobiet. Szach-mat, kościelne skurwysyny!

W swojej książce Kuciel-Frydryszak poświęciła cały rozdział temu, jak przed laty wieś próbowała radzić sobie z nadmiarem płodziątek, a była to praktyka powszechna.

W 1921 r. Polska liczyła 27 mln mieszkańców, w 1931 r. już ponad 32 mln, osiem lat później – 35 mln. Kraj nad Wisłą notował najwyższy przyrost naturalny w Europie, co roku przybywało pół miliona osób. Wysoka liczba urodzeń łączyła się ze skrajną nędzą i wysoką śmiertelnością dzieci oraz matek. Na wsi, czyli tam, gdzie bachorząt przybywało najprędzej, co piąte z nich nie dożywało roku. Powód najczęściej był ten sam: niedożywienie i wszystkie bonusy z nim związane. Ówczesne władze w patologicznym rozpłodzie biedoty jednym okiem dostrzegały katastrofę, ale drugim do niej zalotnie mrugały.

Jak przytacza Kuciel-Frydryszak: „Janusz Poniatowski, minister rolnictwa, w 1936 r. przekonuje, że zmniejszając przyrost naturalny o osiem milionów osób, które on sam uznaje za zbędne, »czulibyśmy się jednak między dwiema potęgami nieswojo«. Trzeba rodzić”. Cóż, im mniej mamy skłonności do męczeństwa, tym więcej żądamy go od innych. Pizdy polskich chłopek Winkelriedem narodów!

Klinika zdrowia Kuby Rozpruwacza

Argument nie trafił pod wiejskie strzechy, gdzie dzieciakowi można było dać do possania jedynie kawał gałgana nasączonego w barszczu na wodzie, a wyniszczone wielokrotnymi ciążami i porodami kobiety padały jak muchy.

Kiedy mieszkająca w przeludnionej chacie maszyna rolno-rozpłodowa dowiadywała się o kolejnej ciąży, na pomoc wzywano „babkę”, postać realną dla lokalsów, mityczną dla sądów. „Babka była”, „babka przyszła” – nie wiadomo skąd i kiedy, najczęściej bezimienna, zawsze z tym samym zestawem ratunkowym dla zbrzuchaconych: drutem, szydełkiem lub białą rurką. Za niewielką opłatą dokonywała – jak to się zgrabnie nazywało – spędzenia płodu poprzez przekłucie pęcherza płodowego. Babka znikała, pojawiała się sepsa i sprawa, podobnie jak płód, wypływała na wierzch.

W latach 30. legalna aborcja była możliwa jedynie w przypadku, gdy ciąża zagrażała zdrowiu lub życiu kobiety albo pochodziła z przestępstwa. Ubóstwo i widmo śmierci głodowej nie były wskazaniem do usunięcia niechcianej zygoty, więc skrobankowa zabawa w kotka i myszkę między władzami a ludem trwała w najlepsze.

Czemuś biedny? Boś głupi. Czemuś głupi? Boś biedny

Już w latach 20. szpalty polskich gazet zapełniły się ogłoszeniami promującymi prezerwatywy. Pierwszą lateksową gumkę zaprojektował i opatentował w 1916 r. pochodzący z Konina Julius Fromm, który prowadził w Berlinie warsztat z artykułami gumowymi.

Nad Wisłą szczególną popularność zdobyły produkty marki Olla-gum. Nawet na ulicach zaczęto podśpiewywać sparodiowaną wersję piosenki Eugeniusza Bodo „Sex-appeal”: „Olla-gum to nasza broń kobieca, Olla-gum to coś, co nas podnieca”. W miastach gumki szły jak woda.

Lateksowe kondomy zaczęły pojawiać się i na wsiach. Jednak nie dla psa kiełbasa, nie dla chłopa antykoncepcja – za jedną sztukę trzeba było zapłacić 50 groszy, połowę dniówki wyrobnika folwarcznego.

Kuciel-Frydryszak przytacza fragment pracy konkursowej z 1935 r. opublikowanej w zbiorze „Pamiętniki chłopów”: „Coby taki Malthus kosztował 15 groszy, toby i mniej kobiet albo dzieci szło do ziemi” (na wsiach prezerwatywy nazywano malthusami od nazwiska pastora anglikańskiego Thomasa Malthusa, głoszącego konieczność uregulowania urodzeń). Sztuczne poronienie nadal zastępowało więc kobietom antykoncepcję.

Żeby życie miało smaczek, raz skrobanka, raz dzieciaczek

W 1934 r. w Poznaniu prymas Polski August Hlond oświadczył: „My, święcąc dzień ku czci rodziny, świadczymy, że rodzina jest instytucją o pewnych wytkniętych celach i zadaniach. Głoszone obecnie tak modne »świadome macierzyństwo« uważamy za pracę przeciwko państwu. Tłumaczenie, że świadome macierzyństwo jest drogą ku wyzwoleniu kobiety, równa się dążeniu do dekadentyzmu społecznego”. Głupiego to i źle posłuchać…

Popularny na wsiach miesięcznik „Rycerz Niepokalanej” poszedł krok dalej i w odmętach demagogii zrobił z wiejskich kobiet (które wolały ryzykować śmierć podczas spędzania płodu niż znowu rodzić) miłośniczki krwawych bachanaliów. Autorka przytacza popularną broszurę „Postępowi rodzice… zabijają dzieci”: „Co robi dziś postępowa matka? – Gdy pozna, że stała się matką, zaczyna przede wszystkim myśleć, jak nie dopuścić, by dziecię to świata Bożego nigdy nie oglądało. Oczywiście wszystkie sąsiadki naokoło radzą, jak która może: jedne stary sposób, drugie nowy, radzą – truć, wskazują przy tym, co i kiedy, a jeszcze inne, te najmłodsze, »najmodniejsze« i »najpostępowsze«, radzą po prostu czym prędzej iść do szpitala i kazać żywcem zarżnąć. Matka się chwilkę waha, szczególnie gdy to pierwsze dopiero dziecko, zgodny chór przyjaciółek ją powoli przekonywuje: – Teraz wszystkie robią! – Nie moda na dzieci, nie te czasy! – Za trzy dni wróci pani do domu zdrowa jak ryba. Ja już byłam dziesięć razy!”. Brzmi znajomo?

W meandrach gnojówki

Blisko sto lat po wydarzeniach, które opisuje Joanna Kuciel-Frydryszak, trucizna w studni publicznego dyskursu o prawie do reprodukcji zbiera swoje żniwo. Oczywiście sporo się zmieniło, choć niewiele na lepsze: współczesne kobiety umierają w szpitalach na sepsę nie z powodu domowych skrobanek, a pod okiem prokuratorów i katofaszystowskich lekarzy, używanie tabletek wczesnoporonnych ścigane jest jak akt terroryzmu, edukacja seksualna praktycznie nie istnieje, kobiety przez zideologizowanie ginekologii straciły zaufanie do lekarzy i przestały się badać, niechciane noworodki kisi się w beczkach albo wyrzuca na śmietniska. Kto ma hajs, ten jedzie na skrobankę za granicę, biedota dalej nurza się w bagnie beznadziei. Historia, ta wielka jak cipa pramatki nauczycielka życia, lubi się powtarzać. Kobietom wciąż słoma z pizdy wystaje.

IDALIA DUBICKA

REKLAMA

eprasa.pl d2be744010

ETYKA BEZBOŻNA

Od tabu do samosądu

Miałem ostatnio ciekawą przygodę polityczną. Zaproponowano mi start z list Lewicy w wyborach do sejmu. Po kilku dniach matuszka partia się rozmyśliła, wystraszona moim wpisem na Twitterze, gdzie powtórzyłem po raz któryś, że nikogo nie wolno piętnować – nawet pedofilów. Okazało się, że słowo „piętnować" nie jest zbyt dobrze znane i ludzie zrozumieli, że nawołuję do wyrozumiałości w stosunku do gwałcicieli dzieci. Bardzo to dziwne, skoro tyle w życiu wylałem atramentu przeciwko księżom pedofilom i chroniącym ich biskupom. Zajęło mi kilka godzin uświadomienie sobie, że dla większości ludzi „piętnowanie" to to samo co „potępianie" i że w związku z tym w ogóle nie zrozumieli, o czym mówię.

Tym bardziej sprawa jest ważna. Zresztą tragiczny przykład tego, jak straszne mogą być skutki piętnowania, mieliśmy w tych dniach. Pewna pani ujawniła w internecie personalia księdza, który masturbował się na plaży. Napisała, że patrzył w tym czasie na małe dziewczynki. W rezultacie tej denuncjacji mężczyzna rzucił się pod pociąg i zginął na miejscu. Absurdalna, niepotrzebna śmierć.

Populiści często grają na atawistycznych, pierwotnych emocjach społecznych. Należy do nich lęk przed naruszeniem ważnego tabu i przed ludźmi, którzy takiego naruszenia się dopuścili. Takim tabu jest pedofilia.

W pewnym sensie pedofil jest w percepcji społecznej gorszy od zabójcy. I co podpowiada lęk? Podpowiada przemoc. Człowieka, który narusza normę społeczną o kluczowym znaczeniu, trzeba zidentyfikować i naznaczyć (czyli właśnie napiętnować), aby każdy był ostrzeżony przez kontaktem z nim. Tabu jest bowiem niejako zaraźliwe. Naznaczenie jednakże nie wystarcza. Jako że ten, kto naruszył tabu, nadal jest mimo napiętnowania niebezpieczny, lepiej go przepędzić lub zabić. Tylko kapłan (szaman) ma odpowiednie narzędzia i moce, żeby zmierzyć się ze złym i skutecznie wydalić go z plemienia. Dlatego z pełnym zrozumieniem przyjęty został list, w których biskup Krakowa prosi biskupa Wiednia, aby ten wziął do siebie niewygodnego księdza pedofila. Ów ksiądz nie musiał być nawet napiętnowany. Można się było go po prostu pozbyć, zanim naruszenie tabu wyszło na jaw. Bo kto narusza tabu w taki sposób, że duchy i bogowie o tym nie wiedzą, ten nie jest jeszcze groźny. Dopiero jawność występku sprowadza na lud gniew bóstw (a co gorsza, może zaszkodzić reputacji urzędu kapłańskiego!). Dlatego tak ważna jest w Kościele kategoria zgorszenia – grzechu nieukrytego. Ukryty grzech jest niewielki (i można go zatuszować) – grzech jawny urasta do rangi zbrodni. Rzecz w tym, aby nie zirytować bóstwa.

Taka to była archaiczna moralność, której paroksyzmami są współczesne zjawiska paniki moralnej. Ilekroć jestem świadkiem (bądź ofiarą) tego rodzaju nagłego wezbrania archaicznych emocji, uświadamiam sobie, jak krucha jest nowa moralność publiczna, którą próbujemy w Europie i na tzw. Zachodzie zaprowadzać od czasów oświecenia. Bardzo ważnym jej aspektem jest wykluczenie z życia społecznego przemocy, a w tym również tradycyjnych samosądów na przestępcach naruszających szczególnie ważne normy i zakazy.

W nowoczesnym społeczeństwie nie ma wyjęcia spod prawa. Każdy, nawet najgorszy przestępca, ma swoje prawa i musi być traktowany wedle prawa, a także chroniony przed przemocą „ludowej sprawiedliwości", czyli samosądem. Z tego właśnie powodu nie może być publicznie piętnowany, czyli oznaczany w taki sposób, aby osoby postronne wiedziały o jego występkach.

Rys. TOMASZ WIATER

Stanowi to bowiem zaproszenie do użycia wobec tej osoby przemocy, czyli do bezprawia. Gdyby prawo nakazywało, aby pedofil miał na czole stempel, który ostrzegałby społeczeństwo, że oto ma do czynienia właśnie z pedofilem, to ów napiętnowany człowiek znajdowałby się w stałym niebezpieczeństwie. W nieco mniejszym stopniu, lecz całkiem realnie takie niebezpieczeństwo sprowadza na przestępców publikowanie ich wizerunków, zwłaszcza z podaniem personaliów i miejsca zamieszkania. A właśnie takiego piętnowania domagają się tzw. populiści prawni, czyli politycy (jak Zbigniew Ziobro) w cyniczny sposób odwołujący się do archaicznych lęków społecznych i mechanizmów tabu.

Ciekawe, że w naszych czasach szczególnym tabu stała się właśnie pedofilia. Dawniej było nim odprawianie czarów, a jeszcze dawniej – zabójstwo. Z niejasnych dla mnie powodów nikt nie nawołuje do piętnowania morderców. Być może przyczyna leży w tym, że ludzie uważają zabójstwa za konsekwencje osobistych porachunków, w które nie warto się wtrącać, natomiast pedofilów uważają za stałe zagrożenie dla swoich dzieci. Ale to tylko hipoteza. Nie jest natomiast żadną hipotezą, lecz boleśnie zweryfikowaną tezą, to, że ludzie w naszych czasach wciąż mają bardzo silnie zakarbowaną archaiczną ideę tabu i piętna, a także ideę kozła ofiarnego – osoby, którą można ukarać za wszystkie przewiny wspólnoty, składając ją w ofierze bóstwu, gdyż bóstwo, zadowoliwszy się taką ofiarą, zostawi resztę w spokoju. Za całą pedofilię świata można potępić i napiętnować tego, kto śmiał powiedzieć coś, co mogłoby zabrzmieć jak zachęta do naruszenia tabu. Ja jednak słabo się nadaję na kozła ofiarnego. Jestem bowiem starym i łykowatym kozłem, a w dodatku niekoszernym. □

JAN HARTMAN

strzelnica odpustowa

Uwolnić Carla Lee!

W niedzielę obudziłem się dość późno, bo po godz. 10, ale dobrze jest się wyspać. Zjadłem na śniadanie płatki owsiane. Potem, zamiast snuć się po chałupie, zostałem zapędzony przez córkę do zrobienia zakupów internetowych. Tzn. ja, jako posiadacz karty kredytowej, miałem zapłacić za ciuchy, które sobie wcześniej córuś wybrała. Uff. Poszło sprawnie.

Jak już siedziałem przy kompie, to zajrzałem do poczty elektronicznej i dostrzegłem, iż mam korespondencję od kilku autorów tygodnika „NIE" z propozycjami tekstów do nowego numeru. Zabrałem się do lektury. Po przeczytaniu nowego felietonu prof. Jana Hartmana (drukujemy obok) uznałem, że dość roboty na dzisiaj i pora odsapnąć.

• • •

W ramach relaksu włączyłem sobie stary film w reż. Joela Schumachera z 1996 r. „Czas zabijania".

– Zatrzymaliśmy Billy'ego Raya Cobba.

– Co zrobił?

– Zgarnęliśmy go za gwałt.

– Kogo zgwałcił?

– Małą Tonię.

– Córkę Carla Lee Haileya? Ile ona miała lat?

– Dziesięć.

To historia ojca brutalnie zgwałconej i prawie śmiertelnie pobitej dziewczynki, który samodzielnie wymierzył sprawiedliwość sprawcom. Zastrzelił ich, gdy policjanci prowadzili napastników na przesłuchanie. Dokonał na nich samosądu lub, inaczej mówiąc, linczu. Został oczywiście aresztowany i był sądzony.

W filmie oskarżony w pewnym momencie pyta swojego obrońcę: „Masz córkę, co ty byś zrobił?". I dalej: „Żal mi ich matek i ojców, ale nie żałuję tego, co zrobiłem".

Pewnie wielu z was ten film oglądało. Ja go obejrzałem po raz kolejny. Założę się, że większość kibicowała ojcu, który pomścił krzywdę dziecka, a zrobił to, bo wiedział, że system prawny nie pomoże. Ja oczywiście kibicowałem mu z całych sił, mimo że doskonale znałem zakończenie filmu.

• • •

W cywilizowanych krajach przestępca – w przypadku filmu Schumachera: gwałciciel i pedofil – powinien zostać osądzony przez system prawny, a nie przez rodzinę czy znajomych ofiary. Ale gdy system zawodzi? W cywilizowanych krajach Zachodu – a przecież w Polsce tym bardziej – borykamy się z niedoskonałościami systemu prawnego i brakiem zaufania społecznego. Przykładów można mnożyć bez liku. Nie jesteśmy też tak dojrzałą demokracją, jak by nam się wydawało.

• • •

Spotkał mnie w życiu kilka lat temu taki przypadek. Oszuści przywłaszczyli sobie mój samochód wart kilkadziesiąt tysięcy złotych. Dla mnie to było dużo. Korzystając z nabytych i wyćwiczonych umiejętności, ustaliłem oszustów, ich siedzibę i siatkę powiązań. Także z urzędnikami państwowymi. Zaśmiali mi się w nos ironicznie, abym podał ich do sądu. Byli pewni swego, a mnie potraktowali jak hetkę-pętelkę. Moje zaufanie do sądów – przyznaję – było wówczas i jest do dzisiaj niewielkie. Poprosiłem więc o udział w następnej turze negocjacji z oszustami znajomych z miasta. Poszło zdecydowanie sprawniej. Odzyskałem całą kasę za furę. Nie żałuję, że nie poszedłem do sądu.

• • •

A przecież chyba dla każdego rodzica dziecko jest stokroć ważniejsze i cenniejsze niż jakikolwiek samochód.

Może więc – tak sobie myślę – lęki i ostracyzm, które łatwo można nazwać populizmem, wynikają z braku wiary w skuteczny system prawny? Może u nas wypasły się na pobłażliwości wobec pedofilii kleru? A może zwyczajnie wynikają z wrodzonego obrzydzenia do naruszenia tak delikatnej sfery, jaką jest niewinność najmłodszych.

To wszystko razem sprawia, że trudno nie odnieść się emocjonalnie do takich wydarzeń.

Samosądy nie są rozwiązaniem, bo każdy kij ma dwa końce, ale warto pochylić się nad tym, gdzie jest ich jądro. Wydaje mi się, że w takiej delikatnej materii potrzeba szerszego studium zachowań społecznych, a nie ferowania prostych wyroków etycznych.

Nawiasem mówiąc, w USA jest narodowy spis i system monitoringu osób skazanych za przestępstwa seksualne, można sprawdzić, ile takich osób mieszka w okolicy, z imienia i nazwiska, ale takie dane wprowadza się po procesie karnym. Trafiają do niego wszyscy skazani, niektórzy nigdy nie zostają z niego wykreśleni.

• • •

Dr Sławomir Jakima, seksuolog i psychiatra, swego czasu w TVN mówił: „Pedofilia jest nieuleczalna, zostaje do końca życia. To jest tak mocny skrypt, że wszelka dyskusja nie ma tutaj sensu. Leczenie jest trudne, polega na obronie ich samych przed nimi samymi".

Dr Jakima wyjaśniał, że stosuje się psychoterapię i metody farmakologiczne, ale skuteczność jest różna, trudno ustalić, czy dana osoba nawet po przebyciu terapii nie popełni kolejny raz takiego przestępstwa. Dodawał, że potrzebny jest system monitorowania pedofilów aż do śmierci.

• • •

Pedofilia w naszych czasach jest szczególnym tabu. Dlaczego się temu dziwić? Mnie się zdaje, że to dobrze, że nasze społeczeństwo i kultura kładą tamę temu, aby dorosły mógł ruchać i wykorzystywać słabsze od siebie dzieci. Rozwój kultury europejskiej doszedł do punktu, że należy chronić słabszych i bezbronnych.

W społeczności więziennej – jak wiadomo nie od dzisiaj – przestępcy seksualni stoją poza drabiną społeczną i to, jak więźniowie traktują w zakładach karnych pedofilów, to jest dopiero kara, a nie to, co sąd przyklepał (obejrzyjcie na YouTube dokument „Nie sąd cię skaże, pedofilu" z 1998 r.). Dzisiaj ponoć wiele się zmieniło. Pedofile siedzą na ochronkach, nie na ogólnych celach. Mają lepiej niż ci na ogólnych – do lekarza pierwsi, łaźnie, spacery indywidualnie. Państwo, system ich szczególnie chroni.

Czy można piętnować pedofilów? Nie można – powie oświeceniowy humanista.

Pedofil po odbyciu kary – jeśli w jej trakcie nie zajmą się nim w odpowiedni sposób charakterni z celi, robiąc mu z dupy jesień średniowiecza – wyjść może na wolność, pójść na plac zabaw, uśmiechać się do dzieci, fundować im lizaki, kto wie, może zaprosić do siebie na oglądanie rybek w akwarium. Chyba jednak nie jestem oświeceniowym humanistą.

Trzymam kciuki nie tylko za ojca z filmu „Czas zabijania", ale także za charakternych chłopaków z ZK w całej Polsce.

• • •

I jeszcze na koniec trochę populizmu: psychiatra dziecięcy – 300–500 zł, terapia – 170–250 zł raz w tygodniu przez 2–3 lata (ceny warszawskie). Na państwową pomoc terapeutyczną czeka się 2–3 lata. Tak wygląda w praktyce możliwość wychodzenia dziecka z traumy po spotkaniu z pedofilem.

WALDEMAR KUCHANNY

eprasa.pl d2be744010

Piłka ropą karmiona

Futbol forpocztą zmian w świecie arabskim.

No i stało się. Na ekranach telewizyjnych będziemy mogli oglądać nie tylko piłkarskie mecze lig europejskich, ale także ligi saudyjskiej, bo trzy spotkania każdej kolejki pokaże Polsat.

Wraz z rozpoczęciem sezonu ligi w Arabii Saudyjskiej kluby zaczęły bez opamiętania wydawać pieniądze na zakupy największych piłkarskich gwiazd. Pierwszy był Cristiano Ronaldo, który trafił do Al-Nassr z Manchesteru United. Nie zapominajmy także o Grzegorzu Krychowiaku, który może nie jest gwiazdą największego formatu, ale w Arabii przecierał szlaki dla innych. Napiszę zresztą o nim więcej. Teraz mogę długo wymieniać nazwiska, które są doskonale znane kibicom na całym świecie, ale wystarczy powiedzieć, że jedynym z gigantów (nie chodzi o wzrost), który oparł się kuszącym propozycjom finansowym, jest Leo Messi. Argentyńczyk odszedł co prawda z Paris Saint-Germain, ale zdecydował się na grę dla Inter Miami w amerykańskiej lidze MLS.

Fair play po arabsku

Szejkowie aktywni są na piłkarskim rynku od dawna. Wystarczy powiedzieć, że właścicielem 81 proc. akcji Manchesteru City, zwycięzcy Ligi Mistrzów i mistrzostw Anglii, jest Abu Dhabi United Group, a najlepszej francuskiej drużyny, czyli Paris Saint-Germain – katarska grupa inwestycyjna. Katarczycy i szejkowie z Emiratów tłoczyli w kluby kasę, podobnie jak gaz i ropę ze swoich potężnych złóż i tylko sprawności prawników zawdzięczają, że nie podpadają pod paragrafy finansowego fair play UEFA.

Na Półwysep Arabski ręce UEFA nie sięgają. To, co wyprawiają w tym roku kluby z Arabii Saudyjskiej, przeczy nie tylko (i tak nieszczelnym) zasadom finansowego fair play, ale też zdrowemu rozsądkowi. A może tylko nam się wydaje.

O pustynnym królestwie mówić będzie teraz cały świat. Nie tylko Polsat kupił prawa do pokazywania Saudi Professional League, zrobiło to kilkadziesiąt innych stacji w kilkudziesięciu krajach; nie napiszę w ilu, bo wciąż przybywają kolejne.

Wszyscy chcą oglądać Ronalda, Mané, Firmino, Benzemę, Mitrovicia, N'Golo Kanté, Koulibaly'ego, Nevesa czy Krychowiaka.

Saudyjska Polonia

W futbolu kupuje się piłkarzy, ale także trenerów. Skorzystał na tym poprzedni trener naszej reprezentacji Czesław Michniewicz. W Abha Club ma zarabiać 1,5 mln dolarów rocznie i nikt tam nie będzie mu wypominać znajomości z „Fryzjerem", osławionym i skazanym szefem mafii kupczącej wynikami ligowymi w Polsce. Michniewicz ściągnął do swojego klubu Krychowiaka z Al-Shabab, mamy już więc zalążek piłkarskiej futbolowej Polonii w Królestwie Arabii Saudyjskiej.

Żeby nie było wątpliwości: Grzegorza Krychowiaka uważam za bardzo dobrego piłkarza, nie da się jednak ukryć, że znacznie bliżej mu do końca kariery niż do wieku trampkarza. Kariery w sporcie nie trwają długo, choć trenerzy, fizjoterapeuci, lekarze, dietetycy oraz całe sztaby innych fachowców dwoją się i troją, aby sprawność organizmów z upływającymi latami spadała u nich powoli. Teraz, gdy w sieci pojawia się szczególnie ostra krytyka defensywnego pomocnika, a trener Fernando Santos zrezygnował z powoływania go do reprezentacji Polski, hejt w sieci jest szczególnie intensywny. Doszły do tego biznesowe problemy z lekarzem kadry Jackiem Jaroszewskim, którego piłkarz oskarżył o wrogie przejęcie wspólnie prowadzonej kliniki ortopedycznej, a doktor odpowiedział złożeniem pozwu o zniesławienie.

Kariera urodzonego w Mrzeżynie piłkarza jest tak bogata, że wystarczyłaby na zapełnienie życiorysów kilku zawodników. Naliczyłem, że począwszy od Orła Mrzeżyno, reprezentował barwy osiemnastu klubów w siedmiu krajach, a i tak nie jestem pewien, czy czegoś nie przeoczyłem. W sporcie wzloty i upadki zwykło się określać rollercoasterem – porównanie do kolejki górskiej w lunaparku stało się już niemożliwie wyświechtane, ale niech będzie. Kariera Krychowiaka to istny rollercoaster.

Globtroter

Z Polski wyjechał wcześnie, ledwie skończył wiek juniora. Tak długo grał i trenował we Francji oraz w Hiszpanii, że biegle opanował tamtejsze języki, nabrał natomiast obcego akcentu, kiedy wyraża się po polsku, co nie jest żadną pozą, ale nieuniknionym następstwem jego drogi życiowej. We Francji ukończył nawet studia, co – jak przyznał w jednym z wywiadów – nie było mu potrzebne do szczęścia, ale rodzice wiercili mu dziurę w brzuchu, że musi zdobyć jakiś zawód, bo samym futbolem żyć nie można. Na studiach poznał też swoją przyszłą żonę, modelkę Celię.

Prawdziwą karierę zrobił jednak w Hiszpanii. Nie zliczę, ile obejrzałem w telewizji meczów FC Sevilla, w których Krychowiak spisywał się lepiej niż dobrze. Hiszpański (żeby być dokładnym – baskijski) trener Unai Emery nie mógł się go nachwalić, zwłaszcza że razem dwukrotnie wygrali rozgrywki Ligi Europy. Szczególnie to drugie zwycięstwo, nad ukraińskim Dnipro, dobrze pamiętamy, bo miało miejsce na Stadionie Narodowym w Warszawie, a jedną z bramek strzelił Krychowiak (co nie zmienia faktu, że show skradła piękna Celia, udzielając niezliczonych wywiadów telewizyjnych). Pamiętam, że nie miała problemów z wymawianiem imienia i nazwiska swojego partnera, ale nie mogę sobie przypomnieć, czy poprawnie wyartykułowała nazwę jego rodzinnej miejscowości, gdy informowała, że wspólnie wybierają się odwiedzić bliskich Grzegorza do Mrzeżyna.

Tak to już jest w futbolu, że często piłkarze ciągną w górę (w dół też!) szkoleniowców, a ci, zmieniając klub, ciągną za sobą ulubionych zawodników. Unai Emery, dzięki sukcesom w Lidze Europy, wzbudził takie zainteresowanie działaczy wielkiego Paris Saint-Germain, że powierzono mu prowadzenie naszpikowanej drogimi gwiazdami drużyny. Emery zapowiedział arabskim właścicielom paryskiego zespołu, że chciałby zabrać ze sobą z Sevilli Krychowiaka, i zgodę otrzymał. Polak z radością przyjął propozycję, bo to i klub z dużo wyższej półki, i język mu nieobcy, i wreszcie Celia miałaby bliżej do swoich.

Kierunek: Wschód

Krychowiak pasował do gwiazd Paris Saint-Germain jak ja – przepraszam za porównanie – do Hemingwaya: nie ten poziom, nie ta klasa. Nic dziwnego, że usiadł na ławce rezerwowych, z której po jakimś czasie przeniósł się na trybuny. Przez trzy sezony rozegrał 11 spotkań i nie zdobył żadnej bramki.

Trzeba się było przenosić do Rosji, do moskiewskiego Lokomotiwu. Klub to bogaty, płaci dobrze, w stolicy Rosji nie brakowało (i nie brakuje do dziś, mimo nałożonych przez Zachód sankcji) luksusowych butików dla zamożnych pań, także żon piłkarzy. Wciąż było nieźle, ale po początkowych zachwytach gra Polaka przestała się podobać i sprzedano go do FK Krasnodar; nadal Rosja, ale już nie stołeczna.

I wtedy przyszła niesprowokowana niczym napaść Rosji na Ukrainę. Krychowiak nie chciał grać w kraju agresora, tym bardziej że zawodnika z Krasnodaru nie powołano by do reprezentacji Polski. Załatwił sobie wypożyczenie do Grecji, a później przeniósł się do Arabii Saudyjskiej. Ten transfer w naszym kraju ośmieszano. Usłyszeć można było, że wybrał sobie intratną emeryturę w beznadziejnej lidze, a biedna Celia będzie musiała głównie siedzieć w domu i chodzić po ulicy w hidżabie.

Wszystko to okazało się nieprawdą. Saudyjczycy postanowili stworzyć rozgrywki piłkarskie na światowym poziomie. Grzegorz Krychowiak gra teraz obok największych sław piłki nożnej. Jeśli chodzi o jego żonę, to korzysta z dobrodziejstw liberalizacji przepisów i obyczajów w tym do niedawna ortodoksyjnym muzułmańskim kraju. Państwo Krychowiakowie znaleźli się więc wśród pionierów otwierania się Arabii Saudyjskiej na świat. Można nawet zauważyć, że nasz pomocnik wcześniej zaszczycił swoją obecnością saudyjski futbol niż słynny Portugalczyk Cristiano Ronaldo, choć to jego świat uznaje za pierwszego zdobywcę tamtejszego rynku. Cóż zrobić, decydowała sława czterokrotnego zdobywcy Złotej Piłki FIFA i europejskiego Złotego Buta, a także wysokość kontraktu podpisanego z klubem Al-Nassr. Zaproponowano mu najwyższą gażę w historii piłki nożnej, czyli po doliczeniu rozmaitych dodatków ok. 200 mln euro rocznie. Trudno, żeby gazety na całym świecie nie pisały o tym na pierwszych stronach, a stacje telewizyjne nie informowały o transferze Ronalda jako o wiadomości dnia.

Kaprys szejka

Zarobki Krychowiaka wyglądają skromniej niż Ronalda. Za przejście z Krasnodaru do Al-Shabab (później przeszedł jeszcze do Abha Club) zaproponowano mu 3,5 mln euro netto za sezon. Bądźmy szczerzy: nikt inny takich pieniędzy nie zapłaciłby zawodnikowi zbliżającemu się do końca kariery i niepowoływanemu do reprezentacji swojego kraju.

Występujący obecnie na pozycji napastnika w polskiej IV lidze Łukasz Gikiewicz (brat bliźniak znanego bramkarza Rafała), zanim trafił do KTS Weszło, objeździł z futbolówką kawał świata, grał w tak egzotycznych piłkarsko krajach jak Tajlandia, Bahrajn, Jordania czy właśnie Arabia Saudyjska i wcale się nie dziwi kwocie, jaką zaoferowano Krychowiakowi. „Żaden klub w Europie nie zapłaciłby Grześkowi takich pieniędzy, jakie dostał w Arabii. Trafił do klubu, w którym nie ma budżetu, bo w Arabii Saudyjskiej nikt nie zwraca uwagi na takie drobiazgi jak finanse czy kominy płacowe. Tam coś takiego nie istnieje. Budżet jest taki, jaki kaprys będzie miał szejk i ile zapłaci" – stwierdził w jednym z wywiadów.

Petrodolary na piar

Być może jakiś czas temu wszystko rzeczywiście zależało tam od kaprysu szejka. Od kilku lat gigantyczne inwestycje w sport stanowią jednak konsekwentnie realizowaną politykę nie tylko Saudyjczyków, ale i innych krajów leżących na złożach ropy naftowej i gazu ziemnego. Przypomnijmy sobie choćby niedawne piłkarskie mistrzostwa świata w Katarze, poprzedzające je lekkoatletyczne mistrzostwa, rywalizację o prymat w świecie szczypiornistów. Zbudowano wspaniałe obiekty, a ponieważ żar jest tam nieznośny, zawody odbywają się na klimatyzowanych stadionach.

Pieniędzy szejkom nie brakuje, ale nie są one wydawane bezmyślnie, dla kaprysu (choć nie wykluczam, że i takie przypadki się zdarzają).

To wszystko ma służyć budowaniu wizerunku w świecie, zamazywaniu stereotypu, według którego Arabowie to ludzie niemalże dzicy, prymitywni, ślepo zapatrzeni w reguły Koranu, na każdym kroku łamiący prawa człowieka.

Oglądane na całym świecie zawody mają pokazywać kraje arabskie jako nowoczesne, choć chroniące swoje tradycje.

Wielki sport to najszybszy sposób zdobywania ludzkich serc. Arabowie tego nie wymyślili. Igrzyska olimpijskie organizowano w ZSRR i Rosji, w USA, w Chinach. Wszędzie tam miały służyć poprawie wizerunku i promocji kraju, przekonywaniu, że są bogatymi demokracjami zdolnymi do prowadzenia pokojowej rywalizacji. W żałosny sposób próbowała tego sposobu także Polska, przeprowadzając w tym roku igrzyska w Krakowie, o których nikt w świecie nie wiedział, w naszym kraju zresztą także mało kto. O kaprysie szejków słyszy cały świat, o kaprysie Kaczyńskiego – tylko ministrowie Jacek Sasin, Kamil Bortniczuk i ich najbliższe otoczenie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Izabela Szolc, Agnieszka Wołk-Łaniewska.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch" S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7^{00}– 17^{00}. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 23.08.2023 r.**

eprasa.pl d2be744010

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Wąsik to mały wąs, a wąs to zarost nad górną wargą, zwykle u mężczyzn. Wąsik to również wiceminister spraw wewnętrznych i administracji.

Wąsik tęsknił za torsem agenta Tomka.

Chciałby też nadal być posłem, dlatego odwiedzał okręg wyborczy, w którym zamierzał kandydować do sejmu. Odwiedzając okręg przed głosowaniem, raz przywoził ze sobą kiełbasę wyborczą, a raz air show w postaci przelotu śmigłowca Apache. Ostatnio zdarzyło się tak, że śmigłowiec zerwał drut z prądem, chociaż bez prądu.

Na dźwięk słowa „drut" Wąsik bardziej tęsknił za agentem Tomkiem.

Jest też polskim patriotą, dlatego cieszył się, że Apache to śmigłowiec polski, kupiony w Stanach Zjednoczonych, a nie dwa śmigłowce białoruskie, kupione w Rosji, które kilkanaście dni temu odwiedziły polską przestrzeń powietrzną. Ani rosyjska rakieta znaleziona niedaleko Bydgoszczy…

Rzeczownik „rakieta" skojarzył się Wąsikowi z trzema milionami złotych w gotówce, a trzy miliony skojarzyły mu się z agentem Tomkiem, za którym tęsknił.

Wąsik w znaczeniu wiceministra, a nie małego zarostu nad górną wargą, mimo że był polskim patriotą i chciałby ponownie zostać posłem, czasem jednak myślał, żeby rzucić politykę w cholerę, wyjechać do klasztoru w Tybecie i tam bez reszty się oddać tęsknocie za agentem Tomkiem.

Albo zacząć robić karierę w teatrze kabuki. Albo nauczyć się grać na hydraulofonie. Albo zostać modelem u Armaniego i zatracić się na wybiegu.

Na razie jednak Wąsika czekała wizyta u prezesa Kaczyńskiego i wytłumaczenie się z przygody śmigłowca Apache. Wprawdzie Kaczyński na air show znał się mniej więcej tak jak gekon lamparci na dysocjacji elektrolitycznej, ale coś trzeba mu będzie powiedzieć – prezesowi, a nie gekonowi… Może to, że śmigłowiec wpadł w zasadzkę zastawioną przez Wagnera? Albo Werbera? Albo Tuska? Kaczyński przepada za Tuskiem…

Myśląc o wizycie w siedzibie partii przy Nowogrodzkiej, Wąsik poczuł, że boli go serce. Nawet nie z powodu tęsknoty za agentem Tomkiem, chociaż to też, ale dlatego, że już mu się nie chciało tłumaczyć. Nie chciało mu się wyjaśniać, płaszczyć się przed Kaczyńskim i błagać o biorące miejsce na liście wyborczej.

Wąsik miał ochotę rzucić prezesowi w twarz, żeby się walił.

A potem kupić bilet do Lhasy, jeśli Lhasa leży w Tybecie…

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA wylądowała w szpitalu. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** bardzo się o nią martwi. Bo z kim będzie gadać?

Rys. TOMASZ WIATER

Daniszewska: – Tamtego popołudnia poczułam się chałowo. Mało kto może sobie na to pozwolić, ale poprosiłam o przysłanie karetki i wyznaczenie pokoju. Tak się stało. Trafiłam do ekskluzywnego wnętrza – nie, nie taniego.

Wołk-Łaniewska: – Domyślam się…

– Dostałam pokój i opiekę medyczną. Panie zaczęły mnie leczyć i ostukiwać.

– Jak to w szpitalu.

– Okazało się, że będę musiała kurować się dłużej. Powód nieznany. I tak siedziałam w klimatyzowanym apartamencie, ponieważ zapomniałam telefonu komórkowego.

– Nierozważnie.

– Żebyś wiedziała. Marzyłam już tylko o tym, żeby się stamtąd wydostać. A piguły leczyły mnie z zapałem.

– Wyczuwam sarkazm…

– Najpierw rozwaliły mi naczynia krwionośne w rękach. Robiły tak, żeby bolało jak najbardziej.

– Jesteś pewna? Może po prostu były niekompetentne. To się zdarza. Zwłaszcza w prywatnej służbie zdrowia, kompetentne chcą większe pensje.

– Nie. Popisywały się swoją władzą. Kiedy wrzeszczałam, mówiły, że tak ma być. Ma boleć. Odmawiały pomocy przy odzyskaniu telefonu. Moich bliskich zbajerowały. Stanęło na tym, że zostałam tam pięć dób. Z trudem się wydostałam.

– Kochanie, to zupełnie okropne. Strasznie ci współczuję.

– Ani razu nie dostałam jeść. Na pierwszą noc dostałam jedną butelkę wody mineralnej. Poczułam się wystarczająco zeszmacona i wyśmiana. Drugiego dnia przeprowadzono mi jakieś badania. Byłam już po bruderszafcie z całym personelem. To znaczy oni byli.

– To generalnie jest bardzo poważny problem w polskiej służbie zdrowia.

– Co niby?

– Chamstwo, przejawiające się między innymi w mówieniu do pacjentów na ty. Zwłaszcza, nie widzieć czemu, tych po sześćdziesiątce. Kilka lat temu było nawet orzeczenie Naczelnego Sądu Administracyjnego w tej sprawie, po tym jak rzecznik praw pacjenta nałożył karę na szpital w Suchowoli.

– I co sąd orzekł?

– Że nie wolno. Bardzo zabawne było, jak szpital się tłumaczył: „Wobec często długotrwałej terapii stosowanie w określonych sytuacjach formy Pan/Pani byłoby sztucznym stwarzaniem dystansu, zwłaszcza dla osób, dla których zwracanie się per ty czy po imieniu jest formą zaspokajania elementarnych potrzeb człowieka, jakimi są potrzeba bliskości czy przynależności"…

– A, to oni to dla mojego dobra robili?

– Oczywiście. Tamten szpital w Suchowoli jest zresztą „dla nerwowo i psychicznie chorych", więc personel uważał, że może wszystko, bo co im taki wariat zrobi? I w swoim rewolucyjnym orzeczeniu najpierw rzecznik, a potem NSA stwierdzili, że nawet wariatami nie wolno pomiatać.

– Rewolucyjne jako żywo.

– Najwyraźniej. W końcu za podobne bluźnierstwo prof. Hartman wyleciał z listy lewicy…

– Nic nie wiem. Jak być może wspominałam, byłam odcięta od świata.

– Aha, rzeczywiście. Opowiadam. Hartman miał dostać jedynkę w Nowym Sączu, ale go sczyścili, bo „w mediach społecznościowych rozmywał odpowiedzialność pedofilów".

– Księży? Co mu odbiło?

– Otóż tam nic nie było o księżach. Było o prawach człowieka: że „pedofile też mają prawa, jak wszyscy inni przestępcy". I jeszcze, że „żadnego człowieka nie wolno piętnować" – przez co miał na myśli, że nie należy publikować ich nazwisk i adresów, żeby uniesieni słusznym gniewem obywatele mogli przyjść i dokonać linczu albo chociaż pomazać drzwi gównem. Taka pięknoduchowska idea filozofa i etyka, że czasy zapinania złoczyńców w dyby i chłostania na rynku ku uciesze gawiedzi w Unii Europejskiej XXI wieku powinny zostać uznane za minione. Lewica nie podzieliła tej opinii. To już zresztą nie pierwszy raz, kiedy filozofowanie złamało Hartmanowi karierę polityczną…

– A rzeczywiście, od Palikota też wyleciał…

– I też za „obronę zboczeńców". W 2014 r. napisał felieton o tym, że różne państwa na różny sposób odnoszą się do kazirodztwa. I że on osobiście uważa, że jeśli chodzi o dobrowolny związek między dorosłymi ludźmi, to państwu nic do tego, a już zwłaszcza kodeksowi karnemu. Robiłam z nim wtedy wywiad. Pytałam, co postępowy filozof i etyk robi u Palikota. Odpowiedział: „Może to było naiwne, ale ja zawsze będę naiwny w polityce".

– Słowa najwyraźniej dotrzymał. Szkoda. Chętnie bym go posłuchała w tej kampanii. Kogo miał mieć po drugiej stronie?

– Terleckiego. Też żałuję. Ale skoro już jesteśmy przy linczowaniu za zbrodnię posiadania odrębnego zdania: o sabacie symetrystów na Campusie Polska ci opowiem, bo pewnie też cię ominęło.

– Że niby co? Tacy świetni byli, jak mówili, że PiS nie jest taki zły?

– Chyba nie do końca rozumiesz ideę symetryzmu… Ale nie, nie byli, bo ich odwołali. Impreza miała się nazywać „Symetryści" i miał ją prowadzić Marcin Meller, a wśród gości miał być Grzegorz Sroczyński. No i organizatorzy uznali, że Sroczyński jest nieco zbyt symetrystycznym symetrystą i lepiej, żeby nie przychodził. Więc Meller podziękował uprzejmie za udział w Campusie, inni jego goście też i teraz im się obrywa od obrońców wolności i demokracji.

– I na pewno słusznie.

– Na pewno. Red. Lis na przykład zareagował z wyrafinowaną ironią, pisząc, że symetryści „dostali lekko po łapkach i zostali delikatnie uszczypnięci w pupkę". Rozumek u redaktorka Lisa w główince się kołysze i bolusia, więc dajmy mu spokój. Krok dalej poszedł Zbigniew Hołdys, w PRL gwiazda zespołu o skromnej nazwie Perfect, a obecnie autorytet polityczny opozycji, który ogłosił, że „symetryści to współczesna wersja szmalcowników". I jeszcze prof. Magdalena Środa, skądinąd koleżanka Hartmana po fachu, etyczka, uznała, że posiadanie na jakikolwiek temat zdania innego niż Donald Tusk to przejaw „narcyzmu dziennikarskich celebrytów", który „może nas zgubić", albowiem „dziś jest czas mobilizacji wszystkich sił".

– A nie jest?

– Przeczytam ci coś: indywidualizm to „filozoficzny motyw szeroko pojętych ruchów emancypacyjnych, których celem było (i nadal jest) uwolnienie jednostki z form zależności i represji politycznych"; „idea otwarta, uwalniająca kolejne obszary ludzkiej podmiotowości i aktywności spod presji tradycyjnych, holistycznych i totalizujących zależności".

– Znowu nie mówisz do mnie po polsku. Co to za bełkot?

– Habilitacja Magdaleny Środy. Wygląda na to, że jeśli chodzi o „ideę otwartą", Pani Profesor znalazła się po przeciwnej stronie sporu. Tylko krowa nie zmienia zdania, ale może pora, żeby przestała nauczać o indywidualizmie, skoro uważa go za niebezpieczny narcyzm czyniący wyłom w zmobilizowanych szeregach?

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl d2be744010